Prenumerata roczna wynosi 10 zł
Numer pojedynczy 3 „

Nr. 2.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO

ROK XXX.



WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1928.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna 10 zł. (2 dol.) — Pojedynczy numer 3 złote.

Wpłata na konto czekowe Nr. 150.142 ks. Król. Kraków

Drukarnia Związkowa w Krakowie.

Pierwsze karty z dziejów SS. Miłosierdzia w Krakowie.

(Napisał Ks. Fr. Śmidoda).

(Ciąg dalszy).

Szpital generalny św. Łazarza.

Akt fundacji tego szpitala, będący równocześnie aktem translacji Sióstr z domu św. Barbary do gmachu na Wesołej dokonany został przez ks. Olechowskiego w imieniu ks. Prymasa Poniatowskiego. Akt ten otwiera ks. Prymas oświadczeniem, że jako „Administrator cum plena iurisdictione Cracoviensi" uważa zgodnie z ustawami kościelnemi, za jeden z licznych obowiązków „swego Pasterskiego Urzędu" także troskę o szpitale. Następnie przyjmuje warunki, jakie ks. Hewner, superjor domu stradomskiego, jako „właściwy (natus) Prowizor szpitala mającego się przenieść postawił, a mianowicie:

1) „Aby Siostrom w Szpitalu do którego maią bydź przeniesione mieszkaiącem, prócz żywności, drzewo i inne potrzeby były udzielane, na odzienie zaś i sprzęty płócienne na każdą dostateczną ilość w pieniądzach była wypłacana.

2) Aby wewnętrzny zarząd, wizyta, zmiana osób tychże Sióstr Miłosierdzia do ich Przełożonych Zgromadzenia należały.

3) Aby w części kościoła przedtem OO. Karmelitów, do którego szpital ma bydź przeniesiony, a teraz exsekrowanym, kaplica była urządzona i kapelan ze Zgromadzenia XX. Misyonarzy był utrzymywany, któryby tak chorych iako i Sióstr Miłosierdzia duchownym posługom zadosyć czynił, i aby temuż kapelanowi na utrzymanie się, iako też na wydatki zakrystyi i kaplicy przeznaczone były dochody.

4) Aby Wielebne Siostry Miłosierdzia z domu św. Barbary na Wesołą do klasztoru przedtem Karmelitów bosych, maiące się przenieść, tenże klasztor ze wszystkiemi należytościami obecnemi ruchomemi i nieruchomemi wiecznie posiadały i w nim Szpital wraz ze swoim uposażeniem dotąd należytem i mogącem się nabyć na zawsze zatrzymały.

5) Aby oboyga płci osoby weneryczną chorobą zarażone do Szpitala maiącego się przenieść przyimowane nie były i aby to ustanowionym było, że Siostry Miłosierdzia są i będą wolnemi od udzielania posługi i innych obowiązków gościnności taką chorobą zarażonych; to waruiąc prosił aby było zachowanym [1]). Dodaje następnie ks. Prymas, że co do „wstawienia się iednego J. X. Andrzeja Hewner, a drugiego Wielebney Maryanny Niwińskiey, Domu tychże Sióstr przełożoney, na te wstawienia się ich, udzielną ordynacyą do dobrego rządu szpitala ściągającą się z powagi naszego urzędu oświadczyliśmy wydać“ [1]).

Siostry wraz z szpitalem i całem swem mieniem zostały w r. 1788, po odpowiedniej przebudowie poklasztornego domu, przeniesione do nowego gmachu dokąd przeniesiono też równocześnie ze szpitala św. Ducha oddział kobiet ciężarnych i podrzutków. Na utrzymanie tych oddziałów przydzielono na zawsze nowemu szpitalowi, mianowanemu przez ks. Prymasa szpitalem św. Łazarza, z majątków szpitala św. Ducha, wbrew protestom ze strony miasta i wspomnianego szpitala, wieś Krowodrze, o której obszernie dowodzi, że jest rzeczywiście donacją kościelną, „z Hołodyńskiem i młynami na Promniku“. Szpital nowy wzbogacił się też, choć nie bardzo pewnie, inwentarzem szpitala św. Ducha.

Możnaby się teraz jeszcze zapytać jakie były dalsze, a zwłaszcza bezpośrednie dzieje domu św. Barbary. Otóż sprawa ta przedstawia się dość niejasno. Wiemy tylko, że gdy Miechowici musieli w r. 1796 na rozkaz rządu austrjackiego opuścić swój dom i kościół św. Jadwigi, przenieśli się

---

[1]) „Akta Szpit. św. Łazarza etc.“ p. 20. Arch. SS. Mił. Kleparz.

na razie do klasztoru OO. Bernardynów na Stradomiu skąd według ks. Załęskiego w r. 1798 [1]), a według ks. Chotkowskiego dopiero w r. 1804 [2]) przenieśli się do św. Barbary, bo dom ten i kościół oddano im wtedy na własność. W r. 1842 i 1843 senat rządzący wolnego miasta umieścił w tym gmachu bursę szkoły wydziałowej pozostawiając tylko część wymierającym OO. Miechowitom. Ostatni z nich, niejaki ks. Penkalski zarządzał kościołem aż do r. 1874. Po jego śmierci rząd zagarnął cały majątek i wcielił go do funduszu religijnego, oddając kościół „w prowizoryczną, bezpłatną administrację“ OO. Jezuitom, którzy tu już od 5 lat byli kapelanami dla Niemców. Wobec tych danych musi pewne zaciekawienie budzić zdanie, jakie czytamy w odpowiedziach Sióstr Miłosierdzia przesłanych „Wysokiey Prefekturze“, najwcześniej w r. 1810, a mianowicie: „Żyiemy jeszcze 4 w tuteyszym Szpitalu przymusu i przykrości doświadczonych, niezaprzeczone świadki ofiary“ [3]), (przeniesienia przymusowego z ulicy św. Jana do św. Barbary). Nasuwa się więc przypuszczenie, że kilka Sióstr musiało tam pozostać po urzędowem przeniesieniu szpitala na Wesołą w r. 1788 i szpitalik ten utrzymywać, a gdy tu przenieśli się OO. Miechowici mogły Siostry pozostać nadal do pomocy w obsłudze utrzymywanego przez nich szpitala. Sprawy tej jednak stwierdzić lub przynajmniej dokładniej zbadać nie mogłem.

Na razie porządek cały, rozkład pracy w szpitalu i jego zarząd pozostały niezmienione. Klinika lekarska powiększyła się do 16 łóżek, a lekarz i kilku uczniów medycyny znalazło nawet mieszkanie w szpitalu. Dochody były tu bez porównania większe, bo w r. 1791 doszły już do 40.414 zł. Dziwnem jednak jest bardzo, że wyłaniające się już u św. Barbary trudności w kwestji własności zostały nietylko nierozwiązane,

---

[1]) Ks. St. Załęski „Jezuici w Polsce“ t. IV. s. 325, Kraków 1905.

[2]) Ks. Wł. Chotkowski „Spustoszenia kościelne etc.“ l. c. s. 146.

[3]) „Odpowiedź na zapytanie Wysokiey Prefektury etc.“ (fasc. „Akta szpit. św. Łazarza etc.“ p. 36) Arch. SS. Mił. Kleparz.

lecz przeciwnie przez umyślne czy przypadkowe pominięcie tej sprawy, a nawet samej nazwy Akademji, w akcie translakcji, jeszcze bardziej pogłębione i skomplikowane. Akademja wzięła jednak za zgodą magistratu intromisję do nowego szpitala, ale na jakiej podstawie, mówi ks. Garzycki, delegat Akademji, w sprawozdaniu swem z 20 III 1907 r. „wzięta była intromisja, od kogo delegowana, na jakim fundamencie delegowana w aktach Szkoły Głównej tej czynności nie znalazłem“ [1]). Dopóki tedy żył dr. Badurski zgoda i spokój panowały w szpitalu, ale po jego śmierci, która nastąpiła już w marcu 1789 r., przyszło do długich i namiętnych sporów co do praw Akademji i Sióstr, a raczej władzy duchownej, której one podlegały. Doszło do tego, jak pisze Wachholz, że „nieszczęśliwie zawiązana — przez Akademję — spółka ze Zgromadzeniem SS. Miłosierdzia nietylko się nie rozwiązała, lecz owszem utwierdzoną została na długoletnią Akademji zgryzotę“ [2]). Zamiast przyjąć bez zastrzeżenia z Kosteckim i Brodowiczem [3]), że przyczyną walki była niechęć Sióstr Miłosierdzia do kliniki i profesorów klinicznych, czy z L.Wachholzem [4]) „że żądnym władzy kobietom“ chodziło „o zdobycie władzy w szpitalu i uzyskanie go na własność Zgromadzenia“, lub zamiast błądzić w labiryncie różnych przypuszczeń, poddajmy odrazu cały ten zagmatwany spór analizie krytycznej, by móc dojść do objektywnego sądu w tej sprawie.

Należy tu podnieść zdaniem mojem, przedewszystkiem 4 momenty:

Na pierwszy z nich zwraca już uwagę w swej pracy ks. dr. Wład. Chotkowski.

1. Wiadomo bowiem, że jak wszystkie uniwersytety, tak i uniwersytet krakowski był instytucją kościelną od biskupa krakowskiego, jako od kanclerza swego zależną. Wielu profesorów zajmowało prebendy w katedrze i naodwrót „pro-

---

[1]) L. Korczyński „Zarys dziejów klin. U. J.“ s. 28.
[2]) L. Wachholz „Szpitale krakowskie“ t. II s. 20.
[3]) L. Korczyński „Zarys dziejów etc.“ s. 42.
[4]) „Szpitale krakowskie“ t. II. s. 32.

kuratorja kapituły krakowskiej zarządzała licznemi fundacjami, alumnatami i kolegjami uniwersyteckiemi". Stąd wzmianki w aktach kapituły o massa Universitatis lub massa acade-



Widok na kościół Pokarmelicki (dziś św. Łazarz) SS. Miłosierdzia od strony Grzegórzek (II połowa XIX w.).

mica in procuratoria. Gdy tedy Komisja Edukacyjna, a właściwie z jej ramienia ks. Hugo Kołłątaj zajął się reformą uniwersytetu zaczął ten ostatni te „fundacje reklamować jako

swoją własność", co wywołało spory, które tem trudniejsze były do rozwiązania, że prezes tej komisji był równocześnie ordynarjuszem krakowskim. Ponieważ delegaci kapituły, archidiakon ks. Józef Olechowski i ks. kanonik Onufry Szembek, wysłani w r. 1785 do Warszawy dla prawnego wyjaśnienia obopólnych praw, do definitywnego, a nawet do jakiegoś konkretniejszego choćby rezultatu w tej kwestji nie doprowadzili, musiał się taki stan rzeczy odbić niewątpliwie także ujemnie na szpitalu św. Barbary, a potem generalnym szpitalu św. Łazarza. Jest to tem prawdopodobniejsze, że

2) jak się dowiadujemy z aktu erekcji już wyżej wspomnianego, przystąpił doń ks. Prymas jako ordynarjusz „administrator", któremu zgodnie z wolą soboru trydenckiego szpitale mają podlegać. Czytamy tam wyraźnie: „A że na mocy Praw Kościelnych, a mianowicie wyroków Świętego Synodu Trydenckiego na Posiedzeniu 7, Rozd. 15 i na Posiedzeniu 22, Rozdz. 8 wydanych; wiadomo jest, że do Urzędu Biskupiego należy; iak o wszystkich mieyscach świętych tak również o pomieszkaniach ubogich i nędznych osób miedź staranie, w których Zbawiciel nasz, iak się sam często oświadcza, iest uczczony i wzgardzony, i aby ich potrzebom o ile bydź może zaradziło się, usuwają się wszelkie przeszkody, wszelki zwyczay, chociażby niepamiętny przywiley lub statut" [1]).

3. Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości że Akademja już u św. Barbary zwróciła uwagę na różnorodność fundacji czyli źródeł dochodu utrzymania tego szpitala. Pieniądze Akademji i fundusze składkowe na klinikę uniwersytecką jak pisze Wachholz, poszły na przebudowę i urządzenie domu na szpital. Prócz tego był tylko jeden fundusz, a mianowicie fundusz Komisji Edukacyjnej, wyraźnie przeznaczony na dwa, a potem na trzy łóżka w klinice uniwersyteckiej. Inne fundusze dane były na szpital jako taki, zarządzany przez Siostry Miłosierdzia pod opieką Uniwersytetu

[1]) Arch. SS. Mił. Kleparz fasc. „Akta zarząd szpit. św. Łazarza etc." p. 20.

i kapituły. Musiało zatem nieuniknienie dojść do sporów, kto właściwie ma prawo do opieki nad temi fundacjami, tem bardziej, że nad niektóremi z woli testatorów rozciągała kapituła swą opiekę. Nadto był jeszcze prywatny majątek Sióstr Miłosierdzia, który jednak dość wyraźnie określony nie był przedmiotem sporów. Czując ten stan rzeczy prosił dr. Badurski Komisję Edukacyjną o przeniesienie szpitala akademickiego do innego gmachu. Nowy dom zakupiono za pie-



Pokarmelicki kościół Niep. Pocz. N. M. P. przy szpitalu św. Łazarza (II połowa XIX w.).

niądze przeznaczone uchwałą sejmu, a uzyskane z dóbr pobenedyktyńskich. Koszta przebudowy i stosownego urządzenia poniosła jak poprzednio Akademja i Komisja Edukacyjna. Było to jednak wszystko w porównaniu z funduszami przeniesionego szpitala, powiększonemi o nowe przyznane przez sejm warszawski i o część majątku szpitala św. Ducha tak małem, że ks. Prymas nie uważał nawet za stosowne, nie bez wielkiej krzywdy Akademji, w akcie erekcji wspomnieć jej imienia, a co dopiero ogłosić ten gmach jako własność

Uniwersytetu lub przyznać mu jakieś bliżej określone prawa w szpitalu. Prawa Akademji dotąd jako tako ustalone musiały teraz z konieczności oprzeć się na tradycji niewielu lat, co na razie spowodowało, że Uniwersytet został wyzuty z niewątpliwej swej własności (gmachu św. Barbary), a na przyszłość usuwał mu się już w nowym szpitalu grunt zupełnie i beznadziejnie z pod nóg [1]).

4. Siostry Miłosierdzia od samego początku swego pobytu w Krakowie poddane były wyłącznie władzy duchownej, nawet wtenczas gdy zarządzały szpitalem akademickim, stąd nic dziwnego, że gdy im Akademja chciała obowiązki określać, opierały się temu, broniąc swych praw i swej wyłącznej zależności od władzy duchownej. Dlatego też gdy Kostecki i Brodowicz przypisują winę wybuchu walki niechęci SS. Miłosierdzia do kliniki i profesorów klinicznych, pisze z pewnem zdziwieniem Korczyński [2]): „Nie znajduję na to żadnego dowodu, aby zdaniu ich bezwzględną można było przyznać słuszność. I owszem ze źródeł tych wynika, że władza duchowna krakowska sama, z własnej inicjatywy, pragnęła na razie wglądnąć w zarząd funduszów szpitalnych, a w przyszłości zagarnąć wraz z nimi i szpital, opierając się na tem, że gmach ustąpiony przez Karmelitów ks. Prymasowi Poniatowskiemu jest

[1]) Winę jaką tu niewątpliwie ponosi ks. Prymas łagodzić jednak musi do pewnego stopnia twierdzenie Korczyńskiego (Zarys dziejów kliniki etc. s. 53), że gdy w r. 1793 Konf. targ. oddała rząd szpitala św. Łazarza całkowicie Akademji, i ta prosiła potem ks. Poniatowskiego o urzędową cesję domu szpitala św. Łazarza „ks. Poniatowski przychylił się tym razem do próśb od kilku lat ponawianych i przysłał żądane dokumenta i instrukcje". Opiera się tu Korczyński na tem, że „dr. Kostecki w r. 1814 robił z nich użytek; istniały więc niewątpliwie. Czy i gdzie są obecnie — pisze — pomimo starań dowiedzieć się nie mogłem". Dalej mówiąc o niekorzystnem rozstrzygnięciu sprawy szpitala dla Uniwersytetu w r. 1793 s. 85, pisze: „Niepomyślne dla akademji rozstrzygnięcie spornej kwestji było w części przynajmniej wynikiem tego, że nie można było odszukać aktów cesji ks. Poniatowskiego. Akt ten dziwnym zbiegiem okoliczności nie znajdował się w archiwum uniwersyteckiem, przechowywano go podobno w Konsystorzu biskupim, czy też w archiwum SS. Mił.".

[2]) „Zarys dziejów kliniki lekarskiej etc." l. c. s. 42.

domem biskupim, że nad Siostrami Miłosierdzia, ich funduszem i szpitalikiem przysługuje prawo nadzoru władzy duchownej, że wreszcie znaczna część funduszów szpitala pochodzi z zapisów dobroczynnych duchownych, i że kapituła krakowska przyczynia się do utrzymania szpitala. Dlatego wyznaczył w r. 1790 komisję do zbadania rachunków szpitalnych, a akademji odmówił prawa wglądania w zarząd".

Z tą też chwilą zaczęła się już otwarta walka, bo gdy delegaci Uniwersytetu ks. Garzycki i Wincenty Szaster zaczęli dowodzić praw Akademji do szpitala, zażądał ks. Olechowski biskup sufragan krakowski by swe twierdzenia oparli na pisemnych dowodach. Z polecenia Akademji zbadał więc ks. Garzycki całą tę sprawę i przekonał się, że rzeczywiście z dokumentów wynika, że „XX. Karmelici — dom swój — nie dla akademji, tylko dla J. O. ks. Prymasa odstąpili". Z czego się pokazuje, że Akademja dotąd niema jasnego i pewnego prawa do pomienionego szpitala lub zostaje w aktualnej possessyi. Więc jeżeli tego gmachu uznaje nieochronną potrzebę ma upraszać J. O. ks. Prymasa, aby uczynił sessyą Gmachu nabytego od Karmelitów in rem szkoły głównej". Prośba wystosowana rzeczywiście do ks. Poniatowskiego pozostała jednak bez odpowiedzi, a tymczasem dokonał w r. 1791 ks. Jerzy Mieroszewski z polecenia ks. biskupa krakowskiego Turskiego wizytacji szpitala i na podstawie obszernego sprawozdania swego został za prośbą ks. biskupa Turskiego mianowany przez Komisję Policji administratorem i wizytatorem szpitala św. Łazarza na miejsce ks. Czuckiego, dotychczasowego prokuratora szpitala z ramienia Uniwersytetu. Z usunięciem Akademji bezpośredni zarząd szpitala przeszedł oczywiście w ręce Sióstr Miłosierdzia. Akademja wysłała teraz prośbę do Komisji Edukacyjnej o obronę Komisji Policji praw Akademji do szpitala jako jej części składowej. Równocześnie jednak wystosowały również Siostry Miłosierdzia pismo do Komisji Policji ze skreśleniem dziejów swej fundacji, swych praw i obowiązków, z podkreśleniem tego, że Akademja nie jest w stanie pretensyj swych obronić dokumentami. Re-

zultat obopólnych zabiegów był ten, że Komisja Policji pismem z lutego r. 1792 nakazała utrzymać status quo przez co rozumiała jednak, jak się potem okazało, że chodzi jej o utrzymanie aktualnego stanu, a nie przywrócenie tego, który był przed nominacją ks. Mieroszewskiego. Zrozumiała to jednak Akademja jako swe zwycięstwo i dlatego wydelegowała 11 II. 1792 trzech profesorów by ogłosili rezolucję w szpitalu i rządy jego odebrali. Wobec nieobecności wszystkich w szpitalu sporządzono akt pisemny z tekstem rezolucji i zachętą dla wszystkich zajętych w szpitalu, by nadal sumiennie spełniali swe obowiązki, a ks. Szuckiego mianowała administratorem i prokuratorem szpitala. Stało się to wszystko jakby na urągowisko Akademji, bo ks. Mieroszewski nie myślał nawet oddawać komukolwiek zarządu szpitala, tembardziej, że go w niespełna dwa tygodnie potem Komisja Policji na stanowisku pozostawiła, a więc tem samem jakby zatwierdziła. Wyznaczono jednak za staraniem Akademji delegację złożoną z przedstawiciela Komisji Edukacyjnej i Komisji Policji dla zbadania sprawy. Rezultatem tego było ułożenie w 10 punktach projektu ustawy szpitala. Czytamy tu pomiędzy innemi:

1. „Siostry Miłosierdzia mają pozostać quoad spiritualia pod zarządem ks. Mieroszewskiego.

2. Ponieważ do posługi chorych należą Siostry Miłosierdzia, ma profesor kliniczny prawo wymagać od nich spełnienia należytego swoich zleceń, w razie zaniedbania odnosić się do ks. Mieroszewskiego.

3. Utrzymanie spiżarni i kuchni należeć ma do Sióstr Miłosierdzia z zastrzeżeniem wszelkich praw profesorów klinicznych, co się tyczy wygody i żywienia chorych.

4. Apteka pozostaje w rękach Sióstr Miłosierdzia z tem zastrzeżeniem, aby lekarstwa jedynie tylko na zlecenie i według przepisów profesorów klinicznych wydawane były.

5. Dochody i zarząd dóbr szpitalnych należą do ks. Mieroszewskiego, który na asygnację Komisji Policji wypłacać będzie Szkole Głównej kwoty dla klinik potrzebne“.

Projekt ten wywołał ogromne oburzenie Akademji, która sporządziła teraz długi memorjał do Komisji Edukacyjnej z obszernem i wyczerpującem przedstawieniem genezy i dziejów sporu. Przy końcu czytamy w nim pełne goryczy słowa: „Co wszystko zważywszy Szkoła Główna widzi, że przy najoczywistszej słuszności swej sprawy, przy chęciach najlepszych służenia krajowi w instrukcji praktycznej medycyny i chirurgji, przy usiłowaniach zaprowadzenia porządku jakiego nauki, dobro ludzkości i oszczędzenie funduszu wyciągają, przy tych wszystkich tak czystych zamiarach widzi, że jest zawsze ofiarą początkowych cudzych pomyłek, że menażowanie osoby, która była początkiem złego, przemaga nad wszystkie inne widoki, że tyle straciwszy czasu na reprezentację, pisma, informacje różne, tyle wycierpiawszy zaczepek, niesprawiedliwości, wciągana jest coraz bardziej w źródło niepokoju, przeszkód, w kłótnie z jurysdykcjami, iż nietylko porządku przyzwoitego zaprowadzić, ale nawet już dawniej będącego utrzymać jej niepodobna. Po wyczerpanych wszystkich sposobach reprezentacji, cierpliwości w tak ważnym, nie jej, ale całego kraju interesie, nie mogąc zyskać tego, czego istotnie dobro i przeznaczenie tego szpitala, potrzeba nauki i interes spokojności zgromadzeniu naszemu tak potrzebny wyciągają, nie zostaje szkole głównej jak tylko oświadczyć i donieść prześwietnej Komisji, że szkoła główna nie mając serca walczyć dłużej z codziennemi przeszkodami mieszającemi jej spokojność, spóźniającemi postępek Nauk, wycieńczającemi Czas na tylu, pismach, reprezentacjach i sesjach w tym interesie od kilku miesięcy składanych, bezskutecznie zgubiony, woli Szkołę praktyczną medycyny i chirurgji zamknąć, jeżeli władze rządowe nie raczą jej usiłowaniom skutecznie dopomóc, rząd wewnętrzny z kasą oddać i Imci X. Mieroszewskiemu nakazać by się ze szpitala natychmiast wyniósł, dochodów jego nie trawił i Siostry Miłosierdzia i jako inne osoby w swych obowiązkach, ustawami szpitala przepisanych zostawił. Ten tylko pozostał się jeden i ostatni krok w szkole głównej, który w oczach prześwietnej Komisji

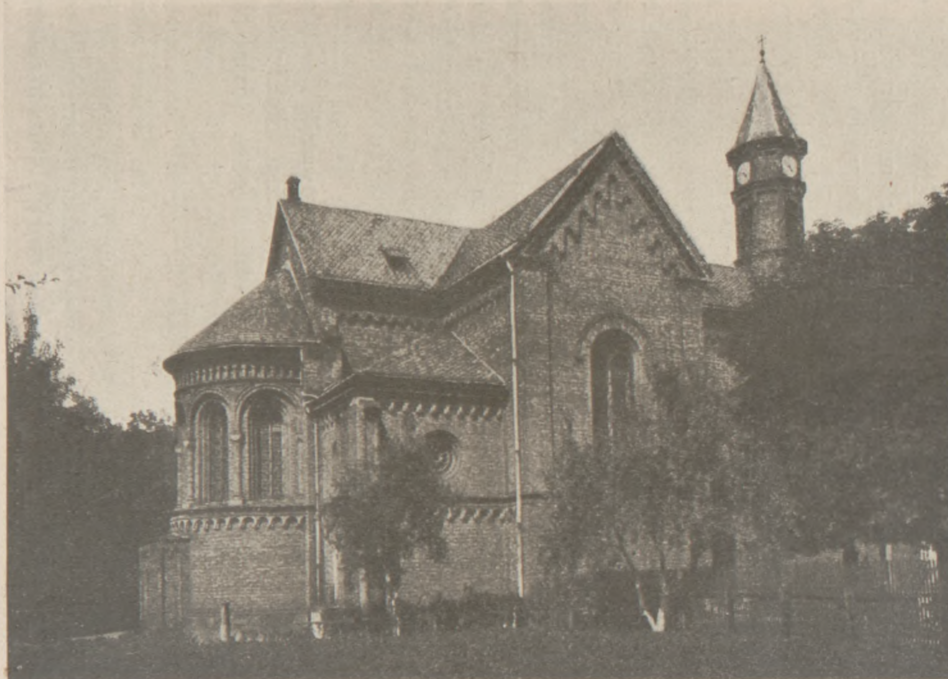
i całej Powszechności usprawiedliwia te wszystkie drogi umiarkowania, cierpliwości i reprezentacji, których się w ciągu tej sprawy Szkoła Główna nieodstępnie trzymała przy prawie niewątpliwem posessji legalnej i przy administracji bez żadnego zarzutu dowiedzionego sprawdzony" [1]).

Podobny list wysłała także Akademja do Komisji Policji. Oba listy pozostały bez odpowiedzi, a ks. Prymas złożył także w tym czasie godność prezesa. Gdy więc Akademja godziła się już z rezygnacją na przegraną, nagle zaszedł w tej sprawie fakt nader pomyślny. Po powstaniu bowiem konfederacji targowickiej odniosła się Akademja do Konfederacji województwa krakowskiego z prośbą o ponowne rozpatrzenie tej sprawy i zawyrokowanie ostateczne w konflikcie. Konsystorz ze swej strony w liście z dnia 25 II. 1793 i 2 III. 1793 [2]) przedstawił nieprzerwany dotąd zarząd szpitala przez biskupa, a raczej przezeń mianowanego wizytatora. Pierwszym był ks. Czucki, a potem był rządcą szpitala potwierdzony przez Komisję Policji ks. Mieroszewski. Dalej wskazują listy na fakt, że Karmelici odstąpili dom klasztorny biskupowi, a nie Akademji, która też żadnych dokumentów dotyczących szpitala nie posiada. Przebrzmiało to jednak bez echa, a Konfederacja województwa krakowskiego z końcem lutego wydała orzeczenie urzędowe oddające szpital Akademji. Czytamy tu p. i.: 1) „Wszelka władza ks. Mieroszewskiego jakakolwiek dotąd była i skądkolwiek wypłynęła do szpitala, odtąd zupełnie ustaje, a rząd szpitalny należy wyłącznie do Szkoły Głównej pod opieką i dozorem Komisji Edukacyjnej. 2) Szkoła Główna ma wypłacić należytość Siostrom Miłosierdzia według umowy zawartej między władzą biskupią a Akademją przy przeniesieniu zakonnic do szpitala św. Barbary. 3) Siostry Miłosierdzia należą co do obowiązków zakonnych do jurysdykcji biskupiej".

Zwycięskiej Akademji chodziło jeszcze o utwierdzenie swego zwycięstwa i o położenie kresu wszelkim walkom

[1]) Koresp. Szk. Głównej s. 219

[2]) A. a. d. m. K. fasc. nr. 3465.



Kościół SS. Miłosierdzia w Krakowie.

w przyszłości. Dlatego wystosowała list do ks. Prymasa, gdzie oznajmiając mu rezolucję Konfederacji woj. krakowskiego pisze: „Nie zostaje teraz Szkole Głównej nic więcej tylko zanieść usilne prośby do J. O. W. X. Mści o zrobienie urzędowej cesji na rzecz jej domu od XX. Karmelitów na Siebie nabytego, tej albowiem niedopełnienie prawności było przyczyną, że jurysdykcja duchowna, mieniąc dom ten być biskupim nie dopuszczała Szkołę Główną do tak zupełnego prawa i rządu nad szpitalem, jaki jej u św. Barbary służył i jaki do wzrostu nauk chirurgicznych i medycznych jest koniecznie potrzebny".

Czy teraz nadszedł urzędowy akt cesji szpitala, a potem zaginął, jak chce Korczyński [1]), czy też wogóle nie nadszedł, jak sądzi Wachholz [2]), wynik pozostaje ostatecznie ten, że Akademja nadal de facto w posiadaniu tego dokumentu nie była. Urząd biskupi tymczasem, nie dając za wygraną, wysłał 19 III. 1793 list do Konfederacji, gdzie stwierdzając ponownie niewygasłe prawa władzy duchownej do szpitala, godzi się jednak na pewne ustępstwa na rzecz Akademji. Pisze bowiem, że „pragnąc by pasterskie jego rozrządzenie nie naruszało rezolucji Konfederacji Województwa Krakowskiego, lecz z nim się zjednoczyło, ze względu na uczynioną secesję Mieroszewskiego, osobę z grona samej Akademji, ks. Minockiego, kanonika i surogata krakowskiego, a Szkoły Głównej podkanclerzego wyznaczył, i urząd Biskupi prosi o oddanie tak kasy jak papierów Minockiemu. Gdyby Konfederacja chciała to komunikować Szkole Głównej, prosi by odpowiedź zakomunikowana była Urzędowi Biskupiemu [3]). Odpowiedź konfederacji z 22 III. 1793 była, wobec ostatecznie już w tej sprawie zapadłej rezolucji, negatywna. W tym samym jeszcze roku za staraniem Akademji przyznał sejm grodzieński szpitalowi św. Łazarza prawa instytutu krajowego.

---

[1]) Zarys Dziejów klin. etc. l. c. s. 53.

[2]) Szpit. krak. etc. l. c. t. II. s. 37.

[3]) A. a. d. m. K. fasc. nr. 3465.



Wnętrze romańskiego kościoła SS. Miłosierdzia w Krakowie.

Pragnąc zorganizować wewnętrzny zarząd szpitala w myśl jego założyciela zwróciła się Konfederacja województwa krakowskiego do ks. Prymasa pismem z 13 IV z prośbą o napisanie dla szpitala ordynacji. Wydał ją ks. Prymas dnia 10 maja tegoż roku, lecz niestety wskutek zmiany warunków politycznych, mianowicie zajęcia Krakowa przez Prusaków dnia 15 VI. 1794 r., nie mogła ona wejść w życie i pozostała jedynie ostatnim wyrazem woli i intencji jaką kierował się ks. Poniatowski przy zakładaniu tego szpitala. Z całości tego aktu i w poszczególnych jego częściach, wyczuwa się, że daje ją ten, komu rzeczywiście leży na sercu dobro biednych chorych i że czuje się on zobowiązanym uchwałą sob. trydenckiego, na który się powołuje, do szczególniejszej o nich troski. Wziąwszy pod uwagę poszczególne zarządzenia jak i sposób organizacji całego szpitala i jego administracji, następnie najdalej chyba posunięte w zgodności z regułą Sióstr Miłosierdzia uzależnienie ich od Akademji, wreszcie skreślenie przyjętego dawniej w akcie translacji do św. Łazarza, warunku, by kapelan był stale ze Zgrom. XX. Misjonarzy, nie przecząc wcale, że z pewnych wyrażeń ks. Prymasa zdają się prawa Akademji w szpitalu być rzeczywiście uważane za prawa łaski do ingerencji, niepodobna jednak mojem zdaniem zgodzić się na to, co mówi Wachholz [1]), że stanowisko prymasa od początku było stale nie przychylne Akademji. Raczej przyjąćby można odnośnie do ks. Poniatowskiego to, co mówi o nim na końcu opisu tego sporu L. Korczyński: „Wobec Szkoły Klinicznej zawinił także i ks. Prymas Michał Poniatowski, nie złą coprawda wolą, boć przyznać trzeba, że ożywiony był dla niej najlepszemi chęciami i dbał o jej rozwój, ale nieodrodny syn swojej epoki, magnat, przed którego wolą uginali się ludzie i władze krajowe, gdy stał u szczytu znaczenia, nie wiele zwracał uwagi na formalne kwestje spraw, które załatwiał z urzędu. Widać je w sprawie szpitala św. Łazarza. Niezałatwienie

[1]) Szpit. krak. t. II. s. 38.

pewnych formalności dało powód do sporów i zatargów, do naruszenia praw Akademji już za czasów polskich, a w przyszłości nader fatalne sprowadziło skutki [1]).

Z końcem lutego r. 1793 czyli z chwilą wejścia w życie rozporządzenia Konfederacji, rozpoczyna się nowy okres w dziejach szpitala św. Łazarza i Sióstr Miłosierdzia, bo opieka i wszelkie prawa władzy duchownej ustały w szpitalu bezpowrotnie, a Siostry tylko jeszcze quoad spiritualia pozostawały od niej w zależności. Obrona zaś pewnych praw SS. Miłosierdzia do samego szpitala, jakoteż do jego zarządu, spada odtąd na same Siostry. Okres drugi, ujęty w tem znaczeniu, trwa do r. 1839, gdy wszedł w życie opracowany przez dr. Brodowicza statut dla wszystkich szpitali Rzeczypospolitej Krakowskiej. Ingerencja SS. Miłosierdzia w formie udziału w radzie, zajmującej się bezpośrednio sprawami szpitala trwała jednak nadal aż do r. 1855.

Na razie stan rzeczy wprowadzony przez Konfederację województwa krakowskiego przetrwał aż do zajęcia Krakowa przez Austrjaków, t. j. do 5 I. 1796. Po zbadaniu sprawy szpitala i zestawieniu jego majątku przyznał w r. 1797 rząd austrjacki SS. Miłosierdzia pełną administrację, usuwając Akademję na plan drugi, a sam zajął się nadzorczą opieką nad szpitalem i wyznaczył w tym celu protomedyka gubernjalnego Dr. Loranza. W r. 1798 „wskutek kilkakrotnych zażaleń Sióstr Miłosierdzia“ [2]) o brak miejsca w szpitalu, urząd Komisji nadwornej pismem z 27 IV. kazał opuścić szpital dr. Kosteckiemu w 14 dniach, a pokoje jego obrócić na sale chorych. Odtąd miał tylko jeden z chirurgów mieszkać w gmachu szpitalnym. Uważając szpital za krajowy, oddzielił rząd sale kliniczne od szpitalnych, tylko część oddziału położniczego oddał na potrzeby naukowe profesora akuszerji, fizyka i chirurga szpitalnego zastąpił innymi lekarzami, a wreszcie rozwiązał bursę lekarską. Nadto wyasygnował stałą sumę na

[1]) Zarys Dziejów klin. etc. l. c. s. 54 n.

[2]) Arch. SS. Mił. Klep. fasc. Akta Zarząd etc. p. 15.

potrzeby szpitala [1]). W r. 1802 ustąpił także dr. Kostecki z posady prof. Kliniki pod wpływem ciągłych szykan ze strony rządu, który pragnął o ile możności wszystkie urzędy obsadzić Niemcami. Powoli jednak na przedstawienia zmieniających się częściej następców dr. Kosteckiego zaczął rząd znów krok w krok ograniczać prawa przełożonej SS. Miłosierdzia, ale ostatecznie dekretem Kancelarji Nadwornej z 27 II. 1809 r.[2]) skreślił to wszystko i oddał Siostrze Przełożonej całkowity zarząd szpitala i wyłączne prawo przyjmowania chorych, nie znosząc jednak, jak w pierwszym akcie, obowiązku lekarzy dbania o zachowanie w szpitalu istniejących przepisów.

Taki był stan rzeczy, gdy z początkiem grudnia 1809 r. Kraków dostał się pod władzę Księstwa Warszawskiego. Dr. Kostecki wrócił teraz znów na dawne swe stanowisko. Władze Księstwa przejęły nietylko nadzór nad szpitalem, ale i jego zarząd, pozostawiając Siostry przełożonej troskę o wykonanie z góry dawanych zleceń. W ramach takiej organizacji doszło znów do dawnych ostrych zatargów, tem większych, że do konfliktu między Siostrami a Akademją musiały się wmieszać z natury rzeczy władze Księstwa. Zniechęcony beznadziejnym tokiem walki, w czasie której rząd niezdecydowany stawał zwykle po stronie Sióstr, opuścił dr. Kostecki już ostatecznie swe stanowisko w r. 1811. W następnych latach cała ta sprawa już zdawała się dobiegać likwidacji, gdy jednak uchwałą Kongresu Wiedeńskiego z r. 1815 Księstwo Warszawskie przestało istnieć, a z Krakowa i najbliższej okolicy utworzono niezależną Rzeczpospolitą pod protektoratem trzech rozbiorczych mocarstw.

Dla zorganizowania Uniwersytetu i ostatecznego ustalenia stosunku Akademji do szpitala św. Łazarza wyznaczyła Komisja Organizacyjna Rzeczypospolitej Krakowskiej t. zw.

---

[1]) Głębocki: Zakłady ku ulżeniu cierpieniom bliźnich, Krak. 1852 s. 336 nn.

[2]) Arch. SS. Mił. Klep. fasc. l. c. p. 23.

Komitet Akademicki, na którego czele stanął ks. Wincenty Łańcucki, prałat kościoła NMP. w Krakowie, nadto dla ustalenia i ostatecznego przeznaczenia funduszów stosownie do ich pochodzenia wyznaczono drugą komisję, która po niewielu dniach pracy wobec niemożliwości uzasadnienia pretensyj Akademji dokumentami, przyznała Szpital św. Łazarza na własność SS. Miłosierdzia. Uniwersytetowi przyznano tylko 1000 dukatów, zapisanych przez ks. Prymasa na trzech kandydatów bursy lekarskiej. Na utrzymanie klinik miała odtąd Akademja płacić rocznie 51000 zł. i oddawać dochody z zapisów na Mydlnikach i Czuszowie[1]). Komitet akademicki opracował w r. 1817 projekt Rady Gospodarczej szpitala i oddał jej główny nadzór nad nim, powierzając Siostrze Przełożonej administrację i zarząd. Najbliższe już lata następne wykazały niepraktyczność tej nowej organizacji, a że równocześnie, a nawet już przedtem, ciągle podnoszono zarzuty co do szczupłości i niedogodności całego zabudowania szpitalnego, czego dowodem był tyfus, jaki w r. 1826 wybuchł w szpitalu, starał się Uniwersytet wszystkiemi sposobami przenieść kliniki do innego jakiegoś gmachu w mieście. Starania te już w roku następnym, czyli 1827, zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem, bo Towarzystwo wolnomularzy rozwiązane właśnie w tym roku, podarowało swój dom na Wesołej w pobliżu szpitala św. Łazarza Uniwersytetowi. W tym samym jeszcze roku po koniecznej przebudowie gmachu przeniesiono tu wszystkie trzy kliniki ze szpitala św. Łazarza. Gdy w nowym domu umieszczono na piętrze lectorium, a na parterze sale na lekcje, operacje i skład narzędzi, okazało się miejsce pozostałe w gmachu za ciasne, tak że Uniwersytet chciał niezwłocznie klinikę położniczą przenieść z powrotem do dawnego szpitala, co jednak okazało się prawie niemożliwe, bo SS. Miłosierdzia były temu przeciwne, a Rada i władze chwiejne i niezdecydowane. W sześć lat później na mocy rozporządzenia Komisarzy trzech opiekuńczych państw

[1]) Korczyński: Zarys Dziejów etc. s. 85.

miał nadzór nad szpitalem przejść w ręce prymarjuszów i S. Przełożonej, a lekarze szpitalni mieli odtąd być przez wydział lekarski Uniwersytetu do zamianowania senatowi przedstawiani. Dopiero w r. 1836 weszło to postanowienie w życie, gdy wojska zaborcze zajęły czasowo Kraków, a na czele senatu stanął Józef Haller. Klinikę położniczą przeniesiono teraz z powrotem do szpitala św. Łazarza, przeznaczając tu nadto jedną salę na wykłady.

W r. 1839 wszedł w życie nowy statut organizacji wszystkich szpitali Rzeczypospolitej krakowskiej, opracowany przez dr. Brodowicza, w myśl którego główny nadzór nad szpitalami miała mieć Rada Ogólna, a poszczególnemi szpitalami bezpośrednio zarządzać Rada Szczególna, do której u św. Łazarza weszli profesorowie klinik, S. Przełożona, dwóch obywateli i jeden z senatorów jako prezes. W ten sposób szpital św. Łazarza zrównany z innymi, został de facto uznany jako szpital powszechny, co właśnie zapoczątkować miało nowy okres jego rozbudowy i rozszerzenia. O ile bowiem dotychczas wskutek różnych czynników natury politycznej czy organizacyjnej szpital przedstawiał rzeczywiście stan godny opłakania, o tyle teraz otaczany troską Rzeczypospolitej krakowskiej, a od r. 1846 rządu austrjackiego, stale powiększany przybiera powoli nietylko wygląd, ale i znaczenie dzisiejsze w Krakowie. W r. 1855 po zniesieniu obu rad istniejących od r. 1839, przejął ten szpital rząd, a w r. 1866 Wydział Krajowy Królestwa Galicji i Lodomerji. Od 8 sierpnia 1879 r. po zrealizowaniu wielkiego planu rozbudowy wszedł w życie nowy statut, uznający szpital za publiczny i powszechny. Z rąk tego Wydziału, a raczej Komitetu Administracyjnego, który służył Wydziałowi do pomocy, przejął po wojnie szpital Polski Komitet Likwidacyjny w Krakowie, a 28 VII 1919 r. Ministerstwo Zdrowia w Warszawie. Po zniesieniu jego przeszedł szpital św. Łazarza, jak i inne wszystkie szpitale publiczne w ręce władz wojewódzkich.

Już dwa wieki minęły, jak Siostry Miłosierdzia przybyły do Krakowa, a w szpitalu św. Łazarza upływa właśnie

140 lat ich pracy. Zmieniły się czasy, po wielekroć zmienili ludzie, ale duch poświęcenia i ofiarnej miłości, co życie swe dla życia innych naraża, przetrwał, bo nie zna granic czasu. Domy SS. Miłosierdzia w Krakowie z czasem się pomnożyły, pole ich działania rozszerzyło się, bo jak wszędzie cieszy się i tu Zgromadzenie to ogólną sympatją. O dziele tem powiedzieć można, że w chwale jego unieśmiertelniło się imię św. Założyciela, wszystkich dzieł miłosierdzia Patrona.

Misje dane przez grupę północno-wschodnią

(od 21 sierpnia do 30 listopada 1927 r.[1])

---

[1]) Dla zaznaczenia ciągłości zamieszczamy wykaz misyj, rekolekcyj etc. grupy misyjnej domu Wileńskiego za czas od r. 1920 do 1927.

Rok 1920.

Mała Brzostowica od 11/6 do 17/6, — Masalany od 24/6 do 27/6, — Wielka Brzostowica od 28/6 do 1/7, — Grodno w kościele pobernardyńskim renowacja misji od 7/12 do 12/12, — trzydniowe rekolekcje w gimn. żeńskiem w Grodnie.

Rok 1921

Jeziory od 13/2 do 20/2, — Druskienniki od 20/2 do 26/2, — Indura od 17/4 do 24/4, — Ejsmonty Wielkie od 25/4 do 2/5, -- Łunna od 5/5 do 12/5 — Kwasówka od 15/5 do 22/5, — Odelsk od 5/6 do 13/6, — Wołpa od 17/6 do 24/6, -- Hoża od 28/8 do 3/9, — Usnarz od 8/9 do 14/9, — Krynki od 17/9 do 24/9, — Dąbrowa Grodzieńska od 2/10 do 14/10, — Suchowola od 16/10 do 25/10, — Nowydwór od 6/11 do 18/11, — Sidra od 15/11 do 24/11, — Sokolany od 27/11 do 4/12.

Rekolekcje wielkopostne: w Grodnie we farze, w gimn. żeńskiem Sióstr Nazaretanek, w gimn. męskiem, w kościele paraf. św. Jana, — w Dobroczynności, w kościele św. Ducha, w naszym kościele.

Kazania w czasie 40-godz. nabożeństwa: w Grodnie we farze, w Grodnie w kościele pobernardyńskim, w Pelikanach.

Rok 1922

Dolistówod 5/3 do 14/3, — Janów od 16/3 do 24/3, — Sokółka od 26/3 do 5/4, — Łysków od 7/5 do 13/5, — Mikielewszczyzna od 14/5 do 20/5, — Połuknia od 15/6 do 20/6, — Żołudek od 25/6 do 4/7, — Olkowicze od 27/8 do 2/9, — Kościeniewicze od 3/9 do 9/9, – Kuźnica od 17/9 do 24/9, — Dukszty Pijarskie od 17/9 do 24/9, — Opsa od 8/10 do 14/10, — Szczuczyn Lidzki od 8/10 do 14/10, — Miory od 15/10 do 21/10, — Udział od 22/10 do 28/10.

Rekolekcje wielkopostne w Wilnie: w gimn. żeńskiem Sióstr Nazaretanek, w gimn. męskiem im. Zygmunta Augusta, w Domu Dzieciątka Jezus dla dzieci i personelu, w Ochronie Serca Jezusowego dla dzieci i personelu, dla stow. Koła Eucharystycznego, w naszym kościele.

Ośmiodniowe rekolekcje: w Wilnie dla Sióstr Nazaretanek, w Grodnie dla Sióstr Nazaretanek.

Kazania w czasie 40-godz. nabożeństwa: w Grodnie w kościele farnym, w Wilnie w kościele Ostrobramskim, w Widzach.

Rok 1923

Wilno — w kościele Wszystkich Świętych od 14/2 do 23/2, — Krypno od 25/2 do 4/3, — Kalinówka od 11/3 do 17/3, — Dolistów renowacja misji od 18/3 do 23/3, — Bereza Kartuzka od 13/5 do 19/5, — Szczytniki od 20/5 do 26/5, — Mścibów od 3/6 do 10/6, — Lebiedziewo od 8/6 do 14/6, — Wilejka Powiatowa od 8/7 do 14/7, — Dukszty Pijarskie renowacja misji od 14/9 do 19/9, — Lipniszki od 21/9 do 27/9, — Geranjony od 28/9 do 4/10, — Dziewieniszki od 5/10 do 11/10, — Wysokie nad Bugiem od 28/10 do 3/11, — Czarnawczyca od 4/11 do 10/11, — Kosowo Poleskie od 11/11 do 17/11, — Biała Waka od 2/12 do 8/12, — Bieniakonie od 16/12 do 23/12.

Rekolekcje wielkopostne: w Glinciszkach dla służby folwarcznej, w Rzeszy, w Wilnie dla Stow. Pań Miłosierdzia, w naszym kosciele.

Pięciodniowe rekolekcje dla ukrytego Zgrom. „Braci Dolorystów“ w Wilnie.

Kazania w czasie 40-godz. nabożeństwa: w Żołuku, w Porozowie, w Pelikanach, w Dryświatach, w Świsłoczy, w Podbrzeziu, w Szczuczynie Lidzkim.

Rok 1924

Wasilków od 10/2 do 17/2, — Porozów od 5/3 do 12/3, — Grodno fara renowacja misji od 23/3 do 31/3, — Wołkowysk od 26/3 do 2/4, — Roś od 3/4 do 9/4, — Wiszniew od 11/5 do 17/5, — Szydłowice od 18/5 do 24/5, — Nowogródek od 1/6 do 8/6, — Stołpce od 8/6 do 15/6, — Rubieżewicze od 15/6 do 21/6, — Wsielub od 29/6 do 5/7, — Starojelnia od 6/7 do 12/7, — Krzemienica od 26/8 do 30/8, — Mir od 7/9 do 11/9, — Horodziej od 10/9 do 14/9, — Nieśwież od 14/9 do 21/9, — Kleck od 21/9 do 27/9 — Dudy od 5/10 do 11/10, — Supraśl od 19/10 do 26/10, — Wołpa renowacja misji od 1/11 do 6/11, — Nowydwór renowacja misji od 23/11 do 28/11, — Swir od 30/11 do 6/12, — Małe Soleczniki od 14/12 do 20/12.

Rekolekcje trzydniowe: w Wilnie dla Pań Miłosierdzia, dla Koła Polek, w Domu Dzieciątka Jezus dla dzieci i personelu, w naszym kościele, w hucie „Niemen“ dla robotników, w Juchnowcu i w Dobrzyniewie.

Kazania w czasie 40 godz. nabożeństwa: w Łazdunach, w Sobotnikach, w Iwju.

Rok 1925

Lida od 1/3 do 15/3, — Wołkowysk od 22/3 do 29/3, — Zelwa od 29/3 do 5/4, — Porozów od 31/3 do 5/4, Żdzięcioły od 3/5 do 9/5, — Mejszagoła od 10/5 do 16/5, Rendzinowszczyzna od 10/5 do 16/5, — Wołkołata od 24/5 do 30/5, — Niestaniszki od 24/5 do 30/5, — Wojstom od 31/5 do 6/6, — Kundzin od 14/6 do 21/6, — Lachowicze od 23/8 do 29/8, — Krzywicze od 30/8 do 3/9, — Mosty od 13/9 do 19/9, — Świr renowacja misji od 4/10 do 7/10, — Dworzec od 25/10 do 31/10, — Rohotna od 1/11 do 7/11, — Kobylniki od 19/11 do 25/11, — Łyntupy od 26/11 do 2/12, — Bystrzyca od 13/12 do 19/12.

Rekolekcje wielkopostne w Wilnie: w szkole technicznej, w Domu Dzieciątka Jezus dla dzieci i dla personalu, w naszym kościele, w Lidzie dla szkół powszechnych, dla gimnazjum, w Niewodnicy, w Topczewie, w Hucie „Niemen" dla robotników, w Narwi.

Pięciodniowe rekolekcje dla Sióstr Dominikanek, ośmiodniowe rekolekcje dla Sióstr Bernardynek w Wilnie.

Kazania w czasie 40-godz nabożeństwa: w Budsławiu, w Dołhinowie, w Wilnie w parafji Wszystkich Świętych, w Duksztach Pijarskich, w Dobrzyniewie, w Łużkach.

Rok 1926

Pabjanice od 21/2 do 28/2, — Żuprany od 21/3 do 27/3, — Oszmiana od 11/4 do 18/4, — Wilno paraf. Niepok. Poczęcia Najśw. Panny od 25/4 do 2/5, — Prozoroki od 18/4 do 24/4, — Łódź paraf. św. Anny od 13/6 do 20/6, — Holszany od 6/6 do 12/6, — Traby od 13/6 do 19/6, — Szudziałowo od 4/7 do 10/7, — Bielsk województwo Białostockie od 22/8 do 28/8, — Gudohaje od 29/8 do 4/9, — Łódź Chojny od 26/9 do 3/10, — Worończa od 7/11 do 13/11, — Michaliszki od 28/11 do 4/12, — Nowogródek renowacja misji od 12/12 do 17/12.

Rekolekcje wielkopostne: w Wilnie w paraf. Wszystkich Świętych, w zakładzie św. Józefa dla sierót, w liceum żeńskiem „Filomatów", w Domu Dzieciątka Jezus dla dzieci i personalu. W hucie szklanej „Niemen" dla robotników i w szkole powszechnej.

Pięciodniowe rekolekcje: w Wilnie dla Bonifratrów i dla ukrytego zgromadzenia „Dolorystów".

Kazania w czasie 40-godz. nabożeństwa: w Wilnie w parafji Wszystkich Świętych i w parafji św. Jakóba, w Dobrzyniewie, w Jałówce, w Ossowie, w Raduniu, w Druskiennikach.

Rok 1927

Lida renowacja misji 6/3 do 12/3, — Holszany renowacja misji 6/3 do 11/3, — Parafjanów 13/3 do 19/3, — Goniądz 3/4 do 9/4, — Żuprany renowacja misji 3/4 do 8/4, — Ejszyszki 24/4 do 30/4, — Werejki 15/5

do 21/5. — Oszmiana renowacja misji 15/5 do 20/5. – Jelnia 29/5 do 4/6, — Wawiórka 5/6 do 11/6.

Rekolekcje wielkopostne: Lida dla uczniów i uczenic szkół średnich 2/3 do 5/3. — Wilno rekolekcje dla uczenic w gimnazjum SS. Nazaretanek 2/3 do 5/3. — Troki Nowe rekolekcje parafjalne 13/3 do 16/3, — Stare Troki rek. paraf. 17/3 do 20/3, — Landwarów rek. paraf. 24/3 do 27/3, — Niemen Huta rek. paraf. 22/3 do 25/3, — Sokółka rek. paraf. 27/3 do 30/3, — Rudziszki rek. paraf. 29/3 do 31/3. — Wilno rek. w liceum „Filomatów" 28/3 do 31/3, — Wilno rek. lud. w naszym kościele 10/4 do 14/4.

Niejeden z czytelników zdziwi się pewnie skąd ta nazwa grupa północno-wschodnia i skąd sama grupa tak naraz się wzięła? Otóż proszę go uprzejmie żeby się nie dziwił, bo najpierw niema z czego, a powtóre zaraz wszystko wyjaśnię.

Nazwaliśmy się grupą północno-wschodnią z tej prostej przyczyny, że pracujemy głównie i prawie wyłącznie w północno-wschodnich województwach Polski, a jest jeszcze druga grupa, której dostały się w udziale, prawda, że znowu nie bez wyjątku, ale przeważnie województwa południowo-zachodnie. Ta więc grupa, jeżeli chce, może się nazwać grupą południowo-zachodnią! Należą do niej księża Adam Piasecki, Głowala i Musiał.

Z tego jednak nie wynika, żeby grupa północno-wschodnia nie zapuszczała się czasem na południe i zachód, a znowu grupa południowo-zachodnia na północ i wschód. To zależy od potrzeb i wymagań strategji. Na misjach bywa bowiem bardzo często tak, jak na wojnie.

Porozumiawszy się więc co do nazwy, i przekonawszy jak mi się zdaje czytelnika, że nie ma w niej nic dziwnego, dodam jeszcze, że grupa północno-wschodnia, to jest nasza, składająca się z dyrektora ks. Witaszka, oraz z księży Matelskiego i Graczyka, ma swoją stałą siedzibę w Warszawie u św. Krzyża. I czyż nie osobliwsza to rzecz, że walcząc i stając wszędzie w obronie Krzyża, i zatykając go, jako sztandar, po misjach, mieszkamy też za to nie jak żebracy, pod krzyżem, ale u samegoż Krzyża! Laus gloria tibi et honor, o Crux Christi, żeś nas tak miłościwie do siebie przygarnął.

Z tej to stałej siedziby naszej, z Warszawy od św. Krzyża, wyruszyliśmy obaj, ks. Matelski i ja, dnia 19 sierpnia na noc do Wilna, gdzie czekał już na nas ks. dyr. Witaszek. Miło wspomnieć tutaj, że na dworcu wileńskim, wraz z przecierającem oczy słońcem, czekał na nas nowy superjor wileński, ks. Ludwik Moska. Przyjęci serdecznie w domu wileńskim, nadziwiwszy się zmianom i ulepszeniom, jakie w nim poczyniono w przeciągu pięciu ostatnich lat, objąwszy miłościwie okiem i duszą całe ukochane miasto i mruknąwszy coś na temat złoconego cygara i cebul rosnących na dachach schizmatyckich cerkwij, ruszyliśmy już we trzech, po południu do Butrymaniec położonych na południowy zachód od Wilna.

Na stacji Bieniakonie czekały na nas, mówiąc z przesadą jakiej tylko poetom wolno używać, dwa pojazdy.

Na jednym, zaprzężonym w dwa konie, usadowili się ks. dyr. Witaszek i ks. Matelski, na drugim, przed którym stał tęgi, o iście lwiej grzywie, śronek, ulokowano bagaże i mnie. Do Butrymaniec mieliśmy jeszcze 14 klm. Konie ruszyły ostro z miejsca po piaszczystej drodze, i po chwili wjechaliśmy w śliczny sosnowy las, w którym wszystkie żydy Bieniakońskie odbywały swój sabatni spacer. Wszystkich uderzyło nas, że żydzi podobni byli bardzo do leśnych faunów, a żydówki, jedne trochę do leśnych dryjad, a drugie, do jakichś zgoła skandalicznych wiedźm, złażących się na jakieś misterjum. Patrzyli na nas jak na agitató(r)hów z Wilna, którzy przyjeżdżają psuć im interes. My natomiast, czując w sobie całą moc Nowego Testamentu i siedząc na wozach zaprzężonych w tęgie konie, minęliśmy ich szybko, pozwalając im obserwować się w tej pozycji, z której, jak należy przypuszczać, nic nie mogli wyczytać.

Wyjechawszy z lasu na otwarte pole, mijaliśmy szybko rzadkie wioski, nakryte strzechą, niskie i jak gdyby przykucnięte do ziemi, rzekłbyś prawie, że to stadka nieumytych owiec, znużone całodziennem chodzeniem po ścierniskach, wypoczywają znieruchomiałe. Jednak po tych wioskach, tak na pozór cichych, że aż zdziwienie ogarnia, mieszka tyle

zdrowego i urodziwego ludu, ile pszczół po ulach. Mieliśmy się o tem przekonać nazajutrz. Przejechawszy Bolcienniki, sławne Mickiewiczem i Marylą, zbliżyliśmy się wreszcie do granic parafji Butrymańskiej. Droga prowadziła pod górkę w takim piasku, że mógłby służyć za ozdobę samej nawet Saharze. Już z daleka zamajaczyło coś przez drogę nakształt łuku, pod którym kręciła się gromadka osób. Jadąc w arjergardzie i nie mogąc spytać się towarzyszów co to jest, zwróciłem się do wiozącego mnie gospodarza, siedzącego przedemną, niby także na wózku, ale tak, że buty jego całowały się z końskim ogonem. Poczciwiec tak był przejęty swoją funkcją i tak, jak mi się zdawało, zażenowany, że nie odpowiedział. Przyglądam mu się bliżej, a on... cicho chlipie! Boże mój! na wąsach osiadły mu łzy, niby rosa na trawie, spuścił głowę i tak sobie siedział. Coś mnie cisnęło za gardło, chciałem go uściskać jak brata, alem już nic nie widział... więc instynktownie się opanowałem, żeby przypadkiem, zamiast jego, nie uściskać siedzenie. Przetarłszy oczy, spostrzegłem, że ks. dyrektor i ks. Matelski zeszli już z wozu i rozmawiają z ludźmi, którzy co dopiero ukończyli bramę triumfalną, wystawioną na nasze przyjęcie. To jest niby na nasze, ale ściślej mówiąc i wnikając w intencję tych poczciwych ludzi, nie tyle może uświadomioną w nich ile w nas, powiedzmy, że wystawioną na powitanie tego, czego misjonarz jest tylko zewnętrznem wyrazem i wyobrazicielem, więc z konieczności i z wielkiem upokorzeniem musi te zewnętrzne objawy czci przyjmować, odnosząc je w duchu tam, gdzie należy.

Koniec końcem, zlazłem i ja z wozu i także zacząłem coś gadać.

Od tej bramy do następnej, zbudowanej już na samym wstępie, do wsi, jechaliśmy jeszcze jakie 4 klm. pośród dużych świeżych gałęzi brzozowych, powtykanych w ziemię po obu stronach drogi. Przy drugiej bramie, na wstępie do wioski, musieliśmy znowu przystanąć i zejść z wozów. Tutaj poważni gospodarze witali nas, według zwyczaju, chlebem

i solą. Co im tam ks. dyrektor powiedział nie wiemy, bo ks. Matelski i ja, nie widząc tak dawno kraju, odwykli od tych szczerych i serdecznych ceremonij, połykaliśmy jeno łzy, lub wpuszczaliśmy je ukradkiem do rękawów, gdzie wsiąkały pewnie aż w serce, bo ich później nie mogliśmy znaleść. Ludzi zbiegła się moc, a wszystkim z twarzy patrzała dusza taka szczera i prawdziwa, jak ta sól i czarny chleb, którym nas witali.

Przejeżdżając szybko przez wioskę, umiecioną i wysypaną żółtawo-białym piaskiem, zaczarowani myślą, że jesteśmy w okolicach opisywanych w „Potopie“, że wioska nosi nazwę Butrymańce, rozglądaliśmy się ciekawie, czy przypadkiem nie zobaczymy gdzie jakich resztek przesławnych Butrymów, którzy jak mówi Sienkiewicz, „największe chłopy z całej Laudy, słynni z małomówności i ciężkiej ręki, w czasie najazdu, sejmików lub wojen, murem w milczeniu iść zwykli“, jakich bodaj dalekich prawnucząt starego Józwy Beznogiego, lub żywych podobizn historycznych pacunelek, lecz daremnie.

Chociaż, prawda, pomyliliśmy się, — tamci żyli dalej, na Żmudzi świętej.

Parafja istnieje w Butrymańcach dopiero od lat trzydziestu, przedtem była filją należącą do Bieniakoń. Kościół niewielki, drewniany, ale bardzo schludny i świeżo odmalowany. Cmentarz obwiedziony naokoło kamiennym murem i zarosły ślicznie trawą. Potężne, rozłożyste sosny stanęły jak gdyby na straży kościółka, zasłaniającąc go od wichrów i szumiąc, odmawiają ciągle swój tęskny pacierz. Siedząc w konfesjonałach na cmentarzu po całych dniach, byliśmy jak ów Benjamin z brewjarza, in mentis excessu, nie wiedząc czego słuchać najprzód, czy melancholijnego szumu tych starych sosen samotnic, czy skruszonego szeptania cisnącego się naokoło ludu. Dalej za murem, aż hen daleko, po krańce lasu, leżały pola w jesiennem omdleniu, przycichłe i jak gdyby także skupione. Szła od nich, zwłaszcza pod wieczór, kiedy słońce schowało się już za wiekowe lasy i ciemność

poczęła je nakrywać, i dzwon rozdzwięczał się na Anioł Pański, i wołać począł na grzeszników nie spieszących się na misje, i psy we wsi zaczęły zrzadka naszczekiwać i gwiazdy zapalać się na niebie jedną po drugiej i kiedy wreszcie dzwon, skończywszy wołać na grzeszników, uderzył jeszcze krótko trzy razy za poległych pod Warną (taki tu wszędzie w tych stronach zwyczaj, datowany aż pono od samej nieszczęśliwej bitwy), szło z tych pól coś takiego, co dreszczem wstrząsało duszę, łzy cisnęły do oczu i na plebanję nie chciało siś wracać.

Zwłaszcza to dzwonienie za poległych pod Warną... Dawne czasy... wtenczas Polacy i Litwini walczyli razem za wspólną sprawę, kochali się jak bracia, a dzisiaj, chociaż z twarzy nie rozeznasz Polaka od Litwina, chociaż ci ostatni mówią lepiej po polsku niż po litewsku, to przecież, niestety, dusze powaśnił wspólny wróg.

Jednego wieczoru, w czasie serji dla mężczyzn, zarządził ks. dyrektor, żeby słuchać spowiedzi św. do godziny dziewiątej. Zwyczajnie kończymy pracę o godzinie ósmej. Po upalnym dniu, zerwał się nagle gwałtowny wiatr, napędził całe zwały kłębiastych chmur i burza rozpętała się na dobre. Przysunęliśmy się z konfesjonałami jedni pod ściany kościoła, drudzy pod grube sosny, lecz niebawem wypatrzyły nas błyskawice i wskazywały niebieskiej artylerji nasze pozycje. Wspaniały, ale zarazem i trochę komiczny to był widok. Mężczyźni porwali konfesjonały, my łapiąc w powietrzu stuły i birety, które nam wiatr pozrywał, nastraszeni łuną pożaru, który gdzieś w pobliżu wzniecił piorun, uciekliśmy do wnętrza kościoła, smagani po oczach błyskawicami i ogłuszani rykiem piorunów, które waliły coraz bliżej i jak się zdawało, aż w sam kościół. Tam pod okiem Tego, któremu i błyskawice i pioruny pokornie służą, czuliśmy się bezpieczni. Mężczyźni klęczeli jak przylepieni do posadzki. Pewnie niejednemu z nich pioruny rozłupały duszę, a błyskawice pokazały mu zgubioną drogę ku Temu, o którem zapomniał, wałęsając się po manowcach grzechu.

Wszystkie nabożeństwa, poza Mszą św., odbywały się na cmentarzu, bo ciepło było i pogoda sprzyjała. Pierwsze wstępne kazanie wygłosił ks. dyrektor z wysokiego krużganku kościelnego, ale znowu nie tak wysokiego, żeby aż szatanowi miała przyjść chętka do kuszenia go, żeby się spuścił na dół. Zresztą chociażby i uległ pokusie, to byłby się i tak nie zabił, bo stojący na około zbitą masą ludzie, byliby go pochwycili na ręce, lub podesłali mu swoje serca.

Po południu zostały już same tylko niewiasty i dziewczęta i tak codziennie aż do środy. W środę do południa wspólna dla nich Komunja św., zapisywanie się do Bractwa Trzeźwości i święcenie dewocjonaljów, uroczyste nabożeństwo, już dla wszystkich wspólnie z krótkiem kazaniem za zmarłych w parafji, ofiarowanie parafji w opiekę Matce Najśw., postawienie krzyża i ostatnie kazanie.

Na szerzone przez misjonarzy po misjach Bractwo Trzeźwości wścieka się przedewszystkiem djabeł i żydzi, którym ono psuje interes. Opowiadał nam ks. proboszcz z Ejszyszek, w którego parafji dawali także misję nasi konfratrzy krótko przed wakacjami, że po misji wybrali się żydzi do Lidy ze skargą i z prośbą zarazem, żeby ich zwolniono od podatku wódczanego, ponieważ przyjechały jakieś agitato(r)hy z Wilna i tak zbuntowały naród, że teraz nikt nie chce pić.

Niewiasty zapisują się zazwyczaj chętnie i dosyć licznie, co zresztą jest zrozumiałe, bo Bractwo idzie im na rękę, wnosząc do domów pokój i zgodę, zabezpiecza garnki i inne sprzęty od tłuczenia, a i je same od kułaków i bolesnych razów ze strony mężów pijaków. Trzeba bowiem wiedzieć, że pijaństwo bardzo jest w tych stronach rozpowszechnione.

Z mężczyznami idzie oporniej. Ale ks. dyrektor urządza się bardzo sprytnie i że tak powiem podstępnie. Wystawia im wszystkie łaski, jakie odebrali od Boga na misji świętej, ogrom grzechów darowanych, ten niepokój sumienia i rozpacz, w której męczyli się od tylu lat, że więc i oni powinni coś ofiarować Bogu za tyle doznanego miłosierdzia.

„Jakże, czy chcecie to uczynić?“ pyta — „chcemy!“ odpowiadają trochę niepewnie i jak gdyby z wahaniem, sądząc, że może się rozchodzi o jaką ofiarę pieniężną, do której nie są skorzy. Kaznodzieja odgadując ich myśl, tak dalej ciągnie: „Widzicie, moi bracia, Pan Bóg nie żąda od was majątku, nie chce waszych pieniędzy, złota i srebra, nie, Pan Bóg wymaga od was ofiary serca. Czy gotowi jesteście złożyć Bogu taką ofiarę serca, co? — „Gotowiśmy!“ huknęli wszyscy tak, że aż z przerażenia zerwał się z łańcucha jeden stary koń przy płocie i spadło kilka suchych szyszek z pobliskiej sosny. — „A czy wszyscy?“ — „Wszyscy!“ krzyczą jeszcze głośniej, pewni już teraz, że nie chodzi o pieniądze. — „No to ja wam poddam taką ofiarę: Złóżcie Panu Bogu przyrzeczenie, ale wszyscy bez wyjątku, tak jak mnie to co dopiero zapewniliście, że przez jeden rok nie będziecie pili wódki, ani żadnych palonych trunków. Czy przyrzekacie?“ — „Przyrzekamy“, zawołali po trzeci raz, ale już nie z tym zapałem, co poprzednio. Ten trzeci wybuch był już znacznie stłumiony i jak gdyby markotny, był, że użyję porównania, nakryty jak gdyby siecią, żeby odłamy nie rozpryskiwały się za daleko. Można było zeń wyczuć takie oto rozumowanie: „No, złapałeś nas misjonarzu, a to ci się udało, niech cię Pan Bóg za to kocha (co przełożone na djalekt pijacki znaczy: niech cię licho wezmie! czy też podobnie), ale trudno, jakeśmy powiedzieli, że wszyscy to wszyscy. Mamy i my swój honor, niechże już będzie. A bodaj cię!...“ „Powtarzajcie teraz za mną, mówi znów kaznodzieja, ale wszyscy, boście tak postanowili: Przyrzekamy, że od dzisiaj przez cały rok nie będziemy pili wódki, ani żadnych innych palonych trunków. Tak nam dopomóż Panie Boże w Trójcy św. jedyny i wszyscy święci“. — Wszyscy święci..., jęczą gdzieś z jakiegoś kąta jakieś spóźnione usta, co jednak zdaje się brzmieć jako wołanie o ratunek: Wszyscy święci, ratujcie! com ja za głupstwo zrobił!“... Trzeba jednak przyznać, że tego przyrzeczenia na jeden rok dotrzymują wszyscy solidnie.

Kaznodzieja korzysta z nastroju i kuje żelazo dalej, póki gorące. „A może są tacy wśród was, którzyby chcieli uczynić to przyrzeczenie na całe życie? Zważcie, bracia drodzy, jak będziecie się cieszyli z tego ślubowania przy śmierci, jaka was czeka za nie nagroda, ile łask i odpustów zyskujecie, należąc do Bractwa, ile zaoszczędzicie zdrowia, przedłużycie sobie życie, o ile mniej kłótni będzie w waszych domach, zaoszczędzony grosz będziecie mogli zużyć na podniesienie gospodarstw, na wypędzenie biedy z chaty, jednem słowem patrzcie, ile nawet doczesnych i materjalnych korzyści popłynie stąd dla was. Sądzę, że wielu z was już się zdecydowało. Niech więc ci, którzy chcą ślubować na całe życie, podniosą ręce do góry. No dalej, nie wstydzić się!“ — Chwila wahania, podkręcania wąsów, szturchanie się łokciami w żebra, co ma oznaczać wzajemną zachętę, uśmiechów i powoli, nieśmiało ponad kosodrzewinę głów (biorąc je razem z włosami) podnosi się kilkadziesiąt rąk, nabierając coraz bardziej zdecydowania prostej linji. Za temi podnoszą się inne, ale wyglądają tak jak gdyby je paraliż pokręcił, lub jak gdyby należały do tych, którzy wrócili świeżo z frontu... Niejedna z nich odpada z powrotem i w końcu zostają tylko te, które szczerze i naprawdę się zdecydowały. Kaznodzieja odmawia z nimi słowa ślubowania na całe życie, a po skończonej ceremonji, otrzymują podpisane przez dyrektora misji patenty, w które uproszone nauczycielstwo lub ktokolwiek z piśmiennych, wpisuje zaraz na cmentarzu ich nazwiska, parafję, dzień zapisania się i t. d. Ks. proboszcz sporządza osobną księgę i także ich wszystkich do niej wpisuje. Bardzo pocieszającem objawem jest to, że wielu zgłasza się jeszcze po misji do ks. proboszcza, prosi o patenty i zapisuje się do Bractwa.

W Butrymańcach zapisało się na całe życie 359 kobiet i 85 mężczyzn. Podobna scena i podobne ceremonje powtarzają się na każdej misji.

Komunij św. rozdaliśmy 8.000. Naprawiono jeden ślub zawarty w Stanach Zjednoczonych półn. Ameryki w tak zw.

kościele niezależnym i przyjęto jednego ze schizmy na łono Kościoła katolickiego.

Zazwyczaj wyłania się na misji wiele spraw takich, które nie nadają się do załatwienia w konfesjonale, jak np. łagodzenie sporów granicznych, jednania osobników, lub całych rodzin, żyjących z sobą w zastarzałej śmiertelnej nienawiści, najrozmaitsze oszustwa i kombinacje na tle dolarowym, wielu bowiem z tych stron ma krewnych w Ameryce, a nadewszystko najkłopotliwsza kwestja mieszanych małżeństw, których tu jest bez liku. Najlepiej jest kiedy te sprawy załatwia jeden misjonarz, bo w toku zaznajamia się z niemi gruntownie, nie traci ich wątku gdy bywają wytaczane powtórnie, nabiera dużej wprawy w odróżnieniu łez i min szczerych od obłudnych, całej gamy jęków, zawodzeń i sumitowań się, a nawet załamywania nieraz rąk i charakterystycznego przytem trzeszczenia stawów, co łatwo mogłoby być poczytane za wyraz szczerego bólu i rzeczywistej tragedji, gdyby nie było obłudne i naprzód wystudjowane. Odsyłamy więc, tak my jak i księża przybyli z pomocą, wszystkich takich interesantów ks. dyrektorowi do zakrystji, nie tracąc z nimi drogiego czasu w konfesjonale!

Pożegnawszy się pod krzyżem misyjnym z parafją, z ks. proboszczem Aborowiczem i posiliwszy się nieco, wyjechaliśmy z Butrymaniec około godziny czwartej po południu do W a s i l i s z e k, gdzie mieliśmy rozpocząć misje zaraz nazajutrz w niedzielę. Każdą misję zaczynamy w niedzielę na sumie, a kończymy w sobotę.

Jadąc znowu z powrotem tą samą drogą na stację do Bieniakoń i widząc, że gałęzie któremi przystrojono drogę, już poschły, lub leżą wdeptane w błoto, że z bram powitalnych pozostały tylko jakieś urągliwe strzępy, powtarzaliśmy sobie bardzo pobożnie i przewracając trochę po kwakiersku oczyma: Sic transiit gloria mundi! Misjonarzu, zrób swoje i wynoś się czemprędzej, nie licz na ludzką sympatję i przyjaźń ani tu ani nigdzie, bo z niej nietylko sobie ale i psu butów nie uszyjesz. Niech ci zawsze hasłem będzie to

dumne a zarazem tak pokorne, dające swobodę i niezależność powiedzenie Pawła: Neminem scio, nisi Jesum Christum et hunc crucifixum!

W Bolciennikach, dawnym majątku Puttkamerów, a więc i Maryli, gdzie mieszkała aż do samej śmierci już jako pani Putkamerowa (co wprawdzie nie należy do opisu misji, ale tak czasem człowiek mimowoli potrąci o jakieś śpiące echo, niby nogą o kamień), mieliśmy się przekonać, że inaczej bywa w poezji, a inaczej w rzeczywistości. Być może, że dawniej było tu tak jak w poezji, bo i okolica cudna, pełna ciszy i jak gdyby ustawicznie zamyślona, i lasy jeszcze wielkie, a pewnie dawniej nieprzebrnięte, ale same Bolcienniki, dzisiaj bardzo są zaniedbane. „Pałac" wygląda jak kiepski dwór, w parku i w podwórzu nieporządek, płoty połamane, drogi zapuszczone, jednem słowem marne to wszystko razem robi wrażenie. Pewnie ptaki gdzieś za granicą, więc i w gnieździe zimno i nieporządnie. Nie należy jednak zapominać, że i wojna tędy przeszła i to nie raz jeden. W pewnem oddaleniu od parku, przeszedłszy śliczną łąkę w dolince, pokazują na rozległem wzniesieniu duży bukiet wielkich starych sosen, podszyty gęsto pokoleniem wnucząt, jałowcami, i paprocią, gdzie jak nas objaśniono, nieśmiertelny Adam czytał śmiertelnej Maryli, wtenczas już pani Puttkamerowej, swoje poezje. A że sama ona stanowiła jedyną wtedy dla Mickiewicza „grande jury" więc może niejedna cenna rzecz poszła w ogień, dzięki jej kaprysowi lub niełasce, za co jednak niech jej czyściec będzie odpuszczony, bo bądź co bądź, nieszczęśliwą była i dużo cierpiała.

Wszystko to nas misjonarzy interesowało tylko sub specie aeternitatis (śmiejesz się czytelniku?) i o tyle tylko, o ile tem wszystkiem wzbogacić mogliśmy nasze tajstry misjonarskie o jeden mały kamyczek na zabicie piekielnego goliata, który i dzisiaj zawraca głowy rozmaitym Adamom i Marylom, lecz niestety, z mniejszą korzyścią dla literatury, a za to z wieczną nieraz niekorzyścią dla ich dusz. Chcąc jednak nie narażać się na zarzut, chociażby ze strony na-

szych własnych poetycznych dusz, żeśmy już kompletnie skwakrzeli i przewracamy białkami tylko w stronę grobu, uroniliśmy w Bolciennikach, wszyscy trzej z ks. dyrektorem na czele kilka ciepłych łez i westchnąwszy cicho, pojechaliśmy dalej do Bieniakoń na grób Maryli, dokąd nas zapraszał tamtejszy ks. dziekan. Ks. dziekana nie zastaliśmy jednak w domu, więc poszliśmy naprzód do kościoła, a stamtąd na grób Maryli, znajdujący się tuż obok na cmentarzu przy kościele. Grób jak grób, zwyczajna mogiła, otoczona żelazną balustradką, a na niej marmurowa tablica z napisem: „Tu spoczywa z Wereszczaków Marja Puttkamerowa. Prosi o Zdrowaś Marja“. Zmówiliśmy nie jedno lecz kilka, dodając Wieczne odpoczywanie i zadumaliśmy się, kiwając z lekka głowami. Tuż obok znajduje się drugi grób, w którym leży córka Maryli; staruszka zmarła w r. 1926. Ocknąwszy się z zadumy, pożegnaliśmy obie mogiły, mówiąc do tej w której śpi Maryla: Widzisz Marylo, na co i tobie przyszło..., ale śpij z Bogiem. Do widzenia!...

Do odjazdu pociągu mieliśmy jeszcze trzy godziny czasu. Wracając z kościoła na stację, musieliśmy przejść całe niemal miasto. To znaczy szliśmy ogromnie szerokim t. zw. Napoleońskim traktem, nad którym w pewnem miejscu usiadł szereg chałup, podobnych do rozczochranych kup siana, i nazwał się miastem Bieniakonie. Mieszkańcami tego miasta są przeważnie żydzi, w ich rękach są wszystkie sklepy. Czytaliśmy na nich takie napisy jak: „Handel spożywczy i żelazny“, „Handel żelazem i inne delikatesy“ „Handel krótkich towarów i skład zakąsków“ i t. p. Może idąc dalej bylibyśmy jeszcze napotkali jaki „handel długich towarów i suszony stokfisz“, ale byliśmy właśnie w samym środku rynku, po którym dla ozdoby chodziło kilka kóz i parę żydówek, i droga wypadła nam w innym kierunku, prowadzącym za miasto do stacji.

W okolicy stacji, Europa, wielki świat, bruki, szyny połyskujące w blaskach zachodzącego słońca, jak polerowane węże, zaczajone tuż przy ziemi i czyhające na zdobycz.

Ks. dyrektor, korzystając z ostatnich uśmiechów gasnącego słońca, kończył brewjarz, ks. Matelski i ja mając brewjarz już skończony, urządziliśmy incensationem Selenae, która blada, jakąś zdziwioną półtwarzą poczęła pokazywać się z za lasu. Wyjąwszy następnie z walizek smaczne zawiniątka, w które zaopatrzono nas w gościnnych Butrymańcach, poszliśmy do pobliskiego sosnowego gaju, pełnego już mroku, nakrapianego srebrem księżyca i urządziliśmy sobie kolację. Chyba taką miewali tylko bohaterowie Homera pod Troją, lub bogowie na Olimpie, wyjąwszy żywicznych zapachów, które chciwie wdychały nasze płuca.

Tymczasem nadszedł wreszcie i pociąg, który zawiózł nas do Skrzybowiec w stronę Lidy. Stąd do Wasiliszek było jeszcze około czy przeszło 20 klm, które trzeba było przejechać na t. zw. „lorce". W czasie wojny zbudowali tu niemcy kolejkę wąskotorową dla wywożenia drzewa z ogromnych lasów. Z tej to kolejki pozostały raptem dwa wózki i zdaje się, że jakaś także lokomotywka, w której palą tylko na większe żydowskie święta. Regularna zaś komunikacja pomiędzy Skrzybowcami i Wasiliszkami odbywa się na piechotę, albo na tych dwóch wózkach przezwanych lorkami, do których zaprzęga się po jednym kiepskim koniu. Taka właśnie lorka czekała po drugiej stronie stacji w Skrzybowcach, gdyśmy tam o jedenastej w nocy przyjechali. Szukamy więc tej lorki i poznajemy ją w ciemnościach po czarnej masie ludzi tłoczących się w pewnem oddaleniu. Ze środka tej gniotącej się masy wypadało od czasu do czasu, niby szrapnel, groźne ostrzeżenie: „Nie siadać tu, bo to miejsca zarezerwowane dla księży!" — „Acha, ktoś tu już o nas pomyślał", szepnęliśmy sobie, i pchamy się naprzód, żeby zdobyć te zarezerwowane miejsca. Nie myśl jednak czytelniku, że dopchawszy się wreszcie, dostaliśmy miejsca z kanapą, oznaczone numerem, z plackartem, ze spisem potraw, z wieszadłem i z wygódkiem. (Nawiasem mówiąc same tam prawie były żydy, więc proszę się nie dziwić, że i moja mowa jest tutaj trochę po żydowsku). Gdzie tam, taka lorka, to

jest sobie najzwyczajniejszy wózek na nizkich żelaznych kółkach, otwarty ze wszystkich stron, a nakryty tylko z góry paru deskami, dla ochrony przed piorunami, bo taki zwyczajny głupi deszcz, to sobie z takiego dachu nic nie robi. Wszystkich miejsc było tylko dwanaście, z których my sami zajęliśmy już trzy. Wszczął się rajwach wśród żydów. Jeden podobien z twarzy do Hamurabiego, z ogromnym rysunkiem w nosie i z brodą, z której gdyby w niej zamiast włosów było siano, całe stado kóz mogłoby się pożywić, wołał do konduktora, jakiegoś dygnitarza w łapciach i z zakopconą latarką na zapadłym brzuchu: „Gdzie pan potrzebuje mieć drugą lorkę, jaki to jest porządek? — „Taki porządek, odpowiada mu na to urzędnik w łapciach, że lorka jest, tylko niema konia i człowieka. Wystaraj się pan o konia i człowieka, to lorka pójdzie“. — „Co ja się mam starać o konia i człowieka, jak ja płacę, to koń i człowiek już tu powinni być“. Tymczasem dano znak, maszynista strzelił z bata, lokomotywa ruszyła z kopyta, machnąwszy uprzejmie wystrzępionym ogonem pod nos pasażerom, siedzącym w pierwszym rzędzie, i powoli zaczęliśmy się poruszać. W dalszym ciągu jechaliśmy naprzemian to expresem, to osobówką, zależnie od tego, czy szło z górki lub pod górkę. Jechaliśmy ciągle olbrzymiemi borami i aniśmy rozumieli co nas w nich mogło spotkać. Uderzyło nas tylko, że siedzący z nami w ostatnim rzędzie inżynier trzymał ciągle w ręku naładowany browning. Później dowiedzieliśmy się, że już nieraz zdarzały się tu krwawe napady, których ofiarą padali przeważnie Żydzi. Raz zabrano pasażerom wszystko, nawet ubrania. Mógłbym przysiąc, że w pewnej chwili zauważyłem wysoką postać, stojącą przy drodze jak gdyby na czatach. Szepnąłem zaraz do ucha siedzącemu obok mnie ks. Matelskiemi, że ktoś stoi, — „o, widzisz go?“ — ks. Matelski podał tę wiadomość ks. Dyrektorowi, ten znowu inżynierowi, i cały nasz ostatni szereg stał się odrazu fortecą. Siedząc z brzegu, byłem najwięcej wystawiony na ewentualny napad. Instynktownie schowałem głowę za szeroką pierś ks. Matelskiego i czułem się całkiem

bezpiecznie. Musiałem być w tej chwili podobny do strusia, który, nie mogąc ujść pogoni, chowa głowę do piasku i czuje się także bezpiecznym. Ale czego nie może fantazja! Po obu stronach wąskiego wyrębu szumiał głęboko tajemniczy las. Coś w nim, od czasu do czasu postękiwało i jak nam się zdawało, wskazywało na nas długim czarnym palcem. Daleko przed nami rozbłysło nagle ognisko, malując na krwawo grube sosny, które stały jak olbrzymie wyprostowane gromnice, zgaszone u góry. Podniecona fantazja szeptała, że to pewnie jaki polski Rinaldo grzeje się ze swą bandą przy tym ogniu. Spojrzeliśmy na zegarki, godzina była dwunasta. Przejechawszy ognisko, które paliło się przy chacie leśnika, pogrążyliśmy się w jeszcze większe ciemności. Zimno poczęło nam dokuczać, a konduktor zapowiada, że mamy przed sobą jeszcze godzinę jazdy. Dowlekliśmy się wreszcie zziębnięci i nawpół żywi, ale pełni fantazji i animuszu. Lorka stanęła przed samym progiem plebanji, z której wyszedł ktoś na nasze spotkanie i zabrał walizki. Wskazano nam czystą białą izbę z trzema łóżkami, w które pochowaliśmy się zaraz, żeby się trochę rozgrzać, bo czem innem już nie było można. Była godzina pierwsza w nocy.

Wasiliszki jedne są stare, a drugie tylko Wasiliszki. Obydwie miejscowości oddalone są od siebie o jakie półtora kilometra. W starych stał do r. 1903 drewniany kościół zbudowany przez Kazimierza Jagiellończyka w roku 1489. W r. 1903 ks. prob. Sokołowski wystawił kosztem parafji ogromny murowany gmach w stylu romańskim, jak na wieś, stanowczo za wielki, i zgoła niepraktyczny, bo utrzymanie takiego kolosu pochłania co roku wiele pieniędzy. Świadczy on jednak o wielkiej odwadze i inicjatywie ks. prob. Sokołowskiego, który włożył weń całe swoje zdrowie i o ofiarności parafjan, nie skąpiących grosza na chwałę Bożą.

Ks. Sokołowski był sobie po trochu artystą z Bożej łaski. Stąd w kościele znajduje się mnóstwo pieczar i zakamarków jego pomysłu i wykonania. Chodzi się po tych pieczarach, pełnych mroku i fantastyczności, niby po jakiejś

miniaturze Ławry Peczerskiej, i podziwia się pracowitość i pomysłowość przezacnego proboszcza, ale zarazem pyta się człowiek sam siebie: po jakiego licha to wszystko? Na plebanji w osobnym lamusie pokazywał nam następca cały naród figur, ulepionych z gipsu, które straszyły nas swojemi fizjognomijami, i wyglądały jak gromada zmartwychwstałych suchotników pobielonych wapnem.

Nadzwyczaj przykre wrażenie robią marmurowe tablice, któremi wyłożone były zewnętrzne ściany kościoła do pewnej wysokości ponad fundamentem. Moskale pozdrapywali z nich po barbarzyńsku polskie napisy ryte w kamieniu i pociągnięte bronzem czy nawet złotem[1]). Co się nie dało wydrapać to zasmarowali wapnem.

W Wasiliszkach, gdzieśmy nazajutrz mieli zacząć misję, ufundował kościół z drzewa niejaki Marcin Limont wr. 1562 [2]). W r. 1831 odebrano kościół OO. Dominikanom i uczyniono zeń kościół parafjalny, a w r. 1832 Moskale gwałtem zamienili go na cerkiew schizmatycką. Lud, który bronił kościoła i nie chciał go opuścić, bito nahajami i przemocą zeń wyrzucono. W r. 1915, z chwilą wkroczenia na te tereny Niemców, pop uciekł do Rosji, a Niemcy obrócili kościół na składy wojskowe. Cofając się stąd w r. 1918 oddali klucze od kościoła katolikom. Ks. dziekan Ratyński zastał go w bardzo opłakanym stanie. Dzisiaj jest już jako tako odnowiony, utrzymany bardzo czysto, i zaopatrzony w nowe śliczne aparaty. Wysoki kamienny mur okala dokoła duży cmentarz i ogromne rozłożyste lipy, kióre napatrzyły się na wiele rzeczy, przetrwały wszystko, i szumią po staremu. Po całych nocach odzywały się w nich puszczyki, jak gdyby odprawując straże u kilku mogił, z których jedna wznosiła się tuż pod naszemi oknami. Leży w niej pochowany schizmatycki pop.

Misje zaczęliśmy na sumie. Ludzi zeszła się taka moc, że pierwsze kazanie trzeba było wygłosić na cmentarzu. Niektóre jednak kazania, jak n. p. stanowe, musieliśmy miewać w ko-

[1]) Napisy uwidoczniały nazwiska fundatorów i dobrodziejów kościoła.

[2]) W r. 1769 zbudowali OO. Dominikanie na jego miejsce świątynię murowaną, barok, ogromnie solidny i bardzo obszerny.

ściele, choć upał był nieznośny, a to ze względu na bliskie sąsiedztwo domów i rynku (Wasiliszki są miasteczkiem), zamieszkanego znowu przez żydów. Polskiemi są tylko urzędy, szkoła i apteka. Zadziwiająca rzecz jak tutaj lud na kresach pomieszał się z żydostwem, nawyk do niego, i nie może się bez niego obejść. Bo i gdzie zresztą co kupi jak nie u żyda? Do większych miast daleko, w mniejszych same żydki, i po wsiach także żydki. Noszą się tak jak chrześcijanie, w takich samych mieszkają chatach, kują po kuźniach, pracują w polu, łażą obdarci, mówią po polsku, lub po białorusku (pomiędzy sobą żargonem), jednem słowem plebs żydowski, plugawy i zaniedbany, trudniący się każdego rodzaju szacherką, cierpliwy i wytrwały, żyjący nieraz w nędzy, a mimo to wpatrzony w jeden cel, posłuszny nakazom zdaleka, kierowany i pchany tajemniczą ręką do cichej systematycznej walki, niby chmura żarłocznego robactwa. Trzebaby jakiejś akcji, zainicjowanej, czy chociażby tylko przychylnie widzianej i mającej trochę poparcia u rządu, żeby lud wyrwać ze szponów drobnego handlarza i sklepikarza żydowskiego, a co po za tem idzie, i z pod jego wpływu moralnego, ale o tem szkoda nawet mówić. Wszak co chwila całe tysiące żydów, wraz z brudem i wszami, otrzymują obywatelstwo polskie, zaczynają się nazywać na s k i i w i c z, i w tym uszlachconym stanie lecą na społeczeństwo nasze jak cuchnący liszaj. Te zaślepione i zapamiętałe wyrachowania pewnych kół mogą być kiedyś bardzo ciężko odpokutowane, ale dzisiaj niema na nie rady. Prywatna inicjatywa zrobiła już wiele, jeszcze więcej robi szkoła polska, dużo robią także misje, ale to wszystko za mało.

To zżycie się ludu z żydostwem jest raczej, że tak powiem, jak gdyby tylko mniej lub więcej dokładnem przystawaniem, nie ma w niem nic organicznego, jest natomiast dużo pogardy dla żyda i wrodzona chęć szydzenia zeń wszędzie, ale niemniej w potrzebie idzie się do żyda, pyta go się o radę, zawierza mu się, nie mniej więc przez to wszystko odbywa się jak gdyby jakaś transfuzja czegoś z duszy żydowskiej w polską, co ją psuje i rozkłada. Żyd, czy żydówka,

wścibi się wszędzie, nawet do kościoła, żeby coś posłyszeć, nauczyć się czegoś, i popisać się potem znajomością i udanem poszanowaniem, a nawet czcią dla tego, co chłopu jest drogie i święte, i w ten sposób tem łatwiej zbliżyć się do niego i pozyskać jego zaufanie. Chociaż nie zawsze im się to udaje, zwłaszcza, jeżeli przebiorą miarę. Opowiadał nam ks. Koroń, proboszcz z Sobakiniec, że do pewnej traktyjerni żydowskiej w Wasiliszkach weszła raz w wielkim poście zziębnięta kobiecina, chcąc się napić gorącej herbaty, bo długo musiała czekać przy konfesjonale nim się wreszcie dostała do spowiedzi św. Usłużna żydowica natychmiast poczęła się nad nią niby to litować i mówić do niej: „Ny, a co, zmarzła pani? w kościele zimno i pewnie paskidnik kamunji nie dał?“, to znaczy, że może ksiądz nie dał jej Komunji św. Tego już było za wiele oburzonej kobiecie, więc zapomniawszy, że jest zziębnięta i że chciała się napić gorącej herbaty, skoczyła z paznokciami ku żydówce i tak jej podrapała gębę, że się później sama poznać nie mogła.

W Trzcianie znowu, w okolicy Osowca, blisko granicy pruskiej, kiedy ks. Dyrektor miał po sumie pierwsze kazanie na cmentarzu, ks. Matelski i ja, patrząc oknem z plebanji, zauważyliśmy w ciżbie kilku żydków w zasmolonych mycach na głowie, słuchających kazania. Oburzyło nas to do żywego, ale jeszcze więcej wyprowadziła nas z równowagi ta niewidziana nigdzie indziej obojętność (bo chyba nie brak odwagi), z którą mężczyźni, polacy i katolicy, cierpieli tych żydów, stojących obok nich i słuchających kazania z nieodkrytemi głowami. Nie mogliśmy zaraz pójść i wypłoszyć żydów, żeby nie zakłócić spokoju, ale postanowiliśmy sobie później zareagować na tę semicko mazurską symbjozę. Jakoż nadarzyła się sposobność. Ks. Dyrektor zdybał kiedyś aż pięciu żydów w kościele na błogosławieństwie przed kazaniem. Chwyta jednego za czuprynę (a musiał to być w prostej choć dalekiej linji jakiś potomek Absaloma, bo włosy miał bardzo podobne do niego) i mówi: „A ty czego tu chcesz?“ — „Przyszedłem posłuchać (r)hefe(r)hatu“. — „Ja ci tu dam

referatu!", i wylał żyda z kościoła. Czterej inni wynieśli się czemprędzej sami, poszturchiwani przez obudzonych już Mazurów. Ale jeszcze w ciągu następnych kilku dni pchało się żydostwo całemi gromadami na cmentarz pod kościół, dopiero ks. Matelski jak nie huknął raz na nich po niemiecku: raus! (co im widocznie bardzo zaimponowało) i jak nie udał że puścił się za nimi, tak żydowie rozbiegli się jak kupa karaluchów, gdy się nagle światło zapali. Postawił następnie przy bramie dwóch młodych tęgich Mazurów z nakazem, żeby żadnego żyda nie wpuszczali na cmentarz. Więc już odtąd tylko pod murem discurrerunt filii, nie filiae, Jerusalem..., takie to wścibskie i natrętne.

Ale może ktoś powie, po co ich tak wyganiać, możeby się nawrócili? Możeby się nawrócili, kto ma chęć i czuje w sobie powołanie niech ich nawraca.

Na Misji w Wasiliszkach musieliśmy się od nich opędzać jak od szerszeni, bo podsłuchiwali kazań, stawali w grupkach poza murem naprzeciw konfesjonałów, świdrując nas oczyma, i dziwiąc się pewnie w swych geszefciarskich duszach, co to za inte(r)hes tak potajemnie, że aż na ucho tam się załatwia. Po kilka razy wstawaliśmy z konfesjonałów i odsyłaliśmy ich pobożnie do bóżnicy. Gdyby ś. p. pan Podbipięta żył dzisiaj i ślubował był nie tureckie, ale żydowskie głowy, to mógłby był, przytaiwszy się za murem, ściąć ich naraz nie trzy ale dziesięć i więcej, bo tyle ich było nieraz na murze. Gdyśmy stawiali krzyż misyjny, to zapełnili prawie połowę rynku, szepcząc coś i gestykulując, a ogromny dębowy krzyż podnosił się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie wyprostował się i spojrzał po nich tak, jak gdyby im chciał powiedzieć: „znamy się już z pod Golgoty...", i rzucił ku nim swój czarny długi cień, jak gdyby im rękę chciał podać i pojednać się z nimi... Ale oni tego napewno tak nie pojęli, tylko pytał się Icie Mojszi: „Mojsze, co ty sobie myszlisz, ile taki dąb może kosztować?...

Komunji św. rozdaliśmy około 12.000. Do Bractwa Trzeźwości zapisali się na jeden rok, jak zwykle i wszędzie,

wszyscy, a na całe życie zapisało się 190 kobiet i coś około setki mężczyzn. Prawosławnych w parafji nie ma, ale za to są wnuki i prawnuki tych, którym Moskale zabrali kościół, a Kozacy nahajami ich zeń pędzili i do krwi smagali. To też, gdyśmy im to przypomnieli, powołując się na świadectwo starych mogił, tkwiących na pobliskim cmentarzu, i nawoływali ich do trwania przy wierze dziadów i pradziadów męczenników, to płakali tak rzewnie, że nie podobna było z nimi nie płakać i nie dziękować Bogu, że taka żywa wiara ostała się w tym ludzie, mimo pokus i wiekowego nacisku ze strony schizmy.

Wszelako niema reguły bez wyjątków. Taki wyjątek zdarzył się i tutaj. Był w parafji bezbożnik pewien, który wygadywał na misję, zapowiadał, że nie zjawi się na niej, a żonę wracającą wieczorem z misji do domu, bił pod pozorem, że mu nie przygotowuje na czas kolacji. We środę, kiedy po południu o godzinie 3-ciej zaczęła się misja dla mężczyzn, on poszedł w pole do pracy. W nocy zasłabł nagle i umarł. W sobotę, gdyśmy już misję kończyli, on jednak na niej się zjawił, ale — w trumnie. Postawiono trumnę pod kościołem, ks. dziekan pokropił ją święconą wodą i kazał cicho wynieść na cmentarz. Wypadek ten wstrząsnął do głębi całą parafją, wszyscy powtarzali sobie z lękiem, że to palec Boży.

Podobne wypadki zdarzają się często. Przytoczę bodaj jeszcze jeden na dowód, że, jeżeli podobne rzeczy na misjach się dzieją, to jest to bezsprzecznie niechybny znak, że Bóg sam otacza misje pewną grozą, nadaje im piętno swego boskiego autorytetu, i że Mu chodzi o to, aby szatan nie niweczył wysiłków Jego ojcowskiego miłosierdzia. I nie może być inaczej, jeżeli się zważy, że misje są jak gdyby dalszym ciągiem pracy Jego jednorodzonego Syna, której się podjął dla zbawienia ludzi.

Ks. Dyrektor opowiadał nam, że w r. 1925 dawał misje wraz z innymi konfratrami w niejakiej Wołkołacie, położonej o kilka godzin za Wilnem na północny wschód od

jeziora Narocz. Opodal kościoła stał stary młyn, w którym pracował pewien robotnik polski już od 40 lat. Dzierżawcą młyna był żyd, ale na tyle uczciwy, że, gdy się zaczęła misja dla mężczyzn wstrzyał pracę we młynie i pozwolił robotnikom pójść na misję. Wspomniany jednak robotnik na misję iść nie chciał, mówiąc, że mu misja chleba nie da, i został się przy pracy. W czasie sumy usłyszeli mężczyźni jakiś zduszony krótki krzyk, ale nie przyszło im na myśl, żeby pójść tam i zobaczyć co się stało. Dopiero idąc z kościoła do domu, dowiedzieli się, że ów robotnik już nie żyje. Został pochwycony pzzez pas transmisyjny, zawleczony na koła i potargany w trybach na krwawe strzępy.

Po tych dwóch misjach mieliśmy mieć tydzień wolny. Taki teraz ks. Dyrektor zaprowadził porządek i na taki zdecydował się system, żeby po każdych dwóch tygodniach pracy następował tydzień wypoczynku. Racjonalność i słuszność tego systemu nie może podlegać kwestji, ani nawet dyskusji, jeżeli się zważy jak wyczerpującą jest praca na misjach, jeżeli misjonarz pracować ma nie dwa, cztery, lub sześć lat, a potem zdenerwowany i skwaszony pójść do składu szanownych zawsze, ale mniej lub więcej połamanych mebli, jeżeli niema wyjałowieć, jak ta gleba, chociażby najurodzajniejsza, ale której nie dają odpocząć i która nie bierze w siebie nic więcej oprócz tego, co jej z obłoków spadnie, lub co jej spadnie z łaski ptaków niebieskich. A więc w tym wolnym tygodniu ma misjonarz nie tylko wypocząć i tchu nabrać, ale ma czytać, uczyć się i rozmyślać, ma przygotowywać sobie nowe kazania, lub przerabiać i poprawiać dawniejsze tak, żeby żadna okoliczność nie zaskoczyła go nieprzygotowanym i żeby karmił zawsze lud nie plewami lecz ziarnem.

Więc po misji w Wasiliszkach ks. dyrektor i ks. Matelski pojechali do Wilna, a ks. Graczyk do Warszawy. Ks. dyrektor miał tam do omówienia pewną sprawę z ks. superjorem Moską, a ks. Matelski, odpocząwszy we Wilnie trzy dni, pojechał sam na czterdziestogodzinne nabożeństwo do Ra-

dunia. Za to potem miał cały tydzień wolny, a ks. dyrektor i ks. Graczyk dali w tym czasie misje w Sobakińcach, położonych w dekanacie lidzkim.

Wyjechaliśmy na tę misję z Warszawy 9 września w piątek na noc. W Marcinkańcach byliśmy o godzinie 5-tej rano. Miały tam na nas czekać konie, względnie mieliśmy po nie zatelefonować, gdyby ich jeszcze nie było. Konie miały przyjść po nas nie z samych Sobakiniec, oddalonych o całe trzydzieści kilometrów od Marcinkaniec, ale z Horodyszcza, położonego na połowie drogi. Pokazało się, że koni niema, bo sądzono przez pomyłkę, że przyjedziemy późniejszym pociągiem. Poranek był bardzo mglisty i pochmurny, poczęło więc robić nam się zimno, i w dodatku byliśmy zaspani, jak wrony zbudzone przedwcześnie, co wszystko razem złożyło się na niezbyt złoty humor. Ks. dyrektor chciał zaraz telefonować po konie, ale pokazało się znowu, że pan telefon ma zwyczaj sypiać w tych stronach aż do godziny dziewiątej, więc gadać doń czy weń wcześniej, to znaczy tyle co gadać do lampy, walić łbem w słup od telegrafu, lub ryczeć do pustej beczki. Skończyło się na tem, że wynajęliśmy wóz i konia i poczłapaliśmy w las. Las ten ciągnie się całemi dniami i nazywa się ruską puszczą. Zaraz na wstępie napotkaliśmy świeży ślad wilka, ale sam wilk, jakaś widocznie mało towarzyska bestja, nie raczył nam się pokazać. Po godzinie jazdy spotkaliśmy furmankę, idącą po nas, i przesiedliśmy się na nią, posuwając się teraz daleko raźniej, bo we dwa konie. Miejscami w puszczy ciągną się całemi milami olbrzymie moczary i błota, na których ludzie, brodząc po pas we wodzie, ścinają wysoką trawę i układają ją w duże kopice na tak zw. kozłach, to jest pewnego rodzaju rusztowaniach, zbitych z drzewa. W zimie, kiedy mróz zetnie trzęsawiska i moczary, wywozi się z nich siano saniami. Do Sobakiniec zajechaliśmy około godziny trzeciej po południu, głodni jak wilcy, bośmy z sobą nic nie wzięli, licząc na to, że zajedziemy jeszcze dość wcześnie, aby odprawić Mszę świętą. W puszczy nie można było także nic kupić, chyba świeżego powietrza, któ-

rego też mieliśmy aż do ochwacenia, ale na które żołądek gwiżdże, lub zniecierpliwiony poczyna grać marsza, napisanego w tonacji bardzo chromatycznej.

Sobakińce, dziwna nazwa, przypominająca sobakę, albo jeśli chodzi o liczbę mnogą, to sobaki. W rzeczy samej im też, a nie komu innemu, zawdzięcza miejscowość swą szlachetną nazwę i początek. Podanie głosi, że król Stanisław Leszczyński, polując w puszczy, zabłąkał się i w dodatku stracił psy. Po długiem błądzeniu napotkał wreszcie swoje sobaki, czy też sobaki napotkały jego, a znowu jego i sobaki napotkali królewscy ludzie i na pamiątkę tego zdarzenia nazwano miejsce Sobakińcami. Miała też tu kiedyś w owych czasach być kaplica, w której Stanisław Leszczyński często się modlił. Inna wersja mówi, że w 16 wieku osiadł tu w tych stronach jakiś uciekinier z Rosji nazwiskiem Sabakinów i ochrzcił miejscowość swojem nazwiskiem. W każdym razie, tak czy owak, Sobakinów, sobaka lub sobaki, wszystko to brzmi podobnie, i wykazuje jakiś przyczynowy związek z Sobakińcami. Były one dawniej miasteczkiem, dzisiaj są wioską osiadłą wśród borów na piaskach.

Parafja liczy około 3000 dusz. Kościoła niema. Nabożeństwo odprawia się w starym śpichrzu rosyjskim, wyglądającym jak kiepska chata, z ołtarzem wewnątrz i kilku chorągwiami. Zato jest ładna murowana cerkiew schizmatycka, zbudowana za pieniądze polskie. Cerkiew tę można było uzyskać na kościół, bo jest pono jakaś ustawa, na mocy której, jeżeli niema w parafji 3000 schizmatyków, to cerkiew, czy ona była od początku cerkwią, lub czy zwłaszcza została zamieniona na cerkiew z kościoła katolickiego, przechodzi na rzecz katolików. Niech się to komuś nie wydaje czemś niesprawiedliwem, lub zgoła okrutnem i nieludzkiem, bo my Polacy, skłonni do całowania się ze wszystkimi, romantycy, cierpiący wiecznie na przerost serca i na zapalenie mózgu, dający często i płaszcz temu, który nam skradł suknię, co jednak nie tyle dowodzi obecności w nas zasady ewangielicznej, ile raczej z jednej strony prostego niedołęstwa czy

lenistwa, nieumiejącego czy też nie chcącego zadać sobie trudu, żeby rozprawić się ze złodziejami, a z drugiej strony tej osobliwej noblesse, która wczorajszemu wrogowi bandycie hurtownie wszystkiego zapomina, oddając mu na własność to, co przedtem skradł, i jeszcze za zaszczyt sobie uważa, że raczył przyjąć, — my Polacy gotowiśmy taką ustawę nazwać drakońską. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że jeżeli ta ustawa znajduje tu i ówdzie praktyczne zastosowanie, to schizmatykom nie dzieje się krzywda, bo albo cerkiew zbudował im rząd rosyjski za pieniądze, wyciśnięte najczęściej od obywatelstwa polskiego, i zbudował bez istotnej potrzeby, li tylko dla wzmocnienia placówki schizmatyckiej, albo dla nadania pewnej okolicy charakteru prawosławnego, a w najlepszym razie dla większej wygody garstki schizmatyków, którzy z łatwością mogli chodzić do pobliskiej innej cerkwi, jak właśnie katolicy musieli i muszą dzisiaj jeszcze chodzić po 30 i więcej wiorst do kościoła, i zbudował jeszcze jako pokusę dla katolików, która ustawicznie miała im mówić: „oto co za wygodę byście mieli, gdybyście przeszli na prawosławie“, — albo rząd zabrał gwałtem kościół katolikom i oddał go na cerkiew schizmatykom. W pierwszym wypadku cerkiew należy się słusznie katolikom, bo po pierwsze zbudowaną była najczęściej za pieniądze polskie, a powtóre katolików jest w danej miejscowości daleko więcej i chodzić muszą po 30 i więcej wiorst do kościoła, podczas gdy garstka schizmatyków, gdyby im zabrakło cerkwi na miejscu, chodzić może do pobliskiej cerkwi w sąsiedztwie. W drugim wypadku odebranie kościoła schizmatykom jest tylko prostą rewindykacją. Tymczasem w obydwu wypadkach robi się schizmatykom za wiele ustępstw, i obchodzi się z nimi za bardzo przez rękawiczki. To wstyd, doprawdy, bo o ile wewnątrz chorujemy, mimo demokratycznego tańca św. Wita, w którym kręci się dziś cała Europa, na jakąś elefantiasis klasową, traktując z góry jedni drugich, i obwijając się w jakiś na gwałt fabrykowane czy odgrzebywane tradycje pochodzeniowe, to wobec upokorzonych wczorajszych wrogów

naszych zachownjemy się jak prawdziwi parweniusze, uważając sobie za zaszczyt, że możemy dla nich coś zrobić, a oni że raczą to łaskawie przyjmować. Prawda, że odgrywają tu także rolę wyrachowania polityczne i partyjne tych typowych parweniuszów, którzy wczoraj powyłazili z kanałów, a dzisiaj, wdrapawszy się, jak stado małp, na rozmaite konsole, uważają się za powołanych do wielkich rzeczy.

W Sobakińcach było tak. Wspomniałem już, że katolików jest tam około 3.000, natomiast schizmatyków był tylko nie cały tysiąc. Na mocy wspomnianej ustawy zapadła decyzja, że cerkiew zostanie zamieniona na kościół katolicki, bo kościoła w pobliżu niema, a cerkiew w bliskiem sąsiedztwie jest, więc do niej schizmatycy będą mogli chodzić. Zresztą, jeżeli większość katolicka mogła i może mieścić się dotąd w spichrzu, to tem wygodniej może się w nim pomieścić schizmatycka mniejszość. A jeżeli sięgniemy jeszcze dalej, to ojcowie tych dzisiejszych schizmatyków byli kiedyś wszyscy i to nie tak dawno, katolikami. Wielu z nich modliło się na polskich książkach katolickich i pamięta, że dziadkowie ich byli katolikami. Zamiast więc rozczulać się nad nimi, należało raczej wywrzeć na nich pewien, nie powiem nacisk, bo to może za twarde wyrażenie, ale należało zrobić coś bardzo delikatnego, coś, co nie wywierałoby nacisku, a jednak ciągnęłoby z powrotem do katolicyzmu. Trzeba na przykład było, nawet w dobrze zrozumianym interesie państwowym, otoczyć na całych kresach wschodnich Kościół tą opieką i chociażby tylko odrobiną tego splendoru, jakim Moskale otaczali cerkiew, a Niemcy kościół protestancki w Poznańskiem i na Mazurach, a wszystko byłoby wróciło z powrotem do Kościoła. Można to twierdzić tem pewniej, że lud odznacza się tutaj wrodzoną głęboką uczuciowością, że wiara jest u niego przywiązana raczej do symbolu, a więc do obrazów i zewnętrznej okazałości, aniżeli do istoty rzeczy to jest do dogmatu i że schizma siedzi u niego raczej pod skórą, aniżeli w duszy i że żyją tu jeszcze miejscami po trochu, a miejscami bardzo wyraźnie, dawne tradycje kato-

lickie. Zadziwiająca rzecz! kiedyśmy czasem pytali tego lub owego schizmatyka kim jest, to odpowiadał: „tutejszy“. A jakiej wiary? znowu odpowiadał: „tutejszy“. Co to znaczy tutejszy? kimże jesteś, katolikiem, czy prawosławnym? Zapytany tak wyraźnie, nie mógł się już wykręcać, lecz odpowiadał: „ja prawosławny, ale mój dziadek był katolik, a mój ojciec modlił się na polskiej książce“. — No to dlaczego ty i dlaczego wy wszyscy nie chcecie być teraz napowrót katolikami? — „Bo niema ukazu!“ — Acha, w tem sęk, tutaj sedno rzeczy: „niema ukazu!“ Niema, nie było i nie będzie ukazu, bo to sprzeciwia się intencjom jednostek i całych pewnych kół, będących dziś u steru, jak to zresztą jawnie pisze się o tem po gazetach i z czego nie robi się tajemnicy nawet przed wróblami. Mógł rząd rosyjski wydawać ukazy i egzekwować je za pomocą barbarzyńskich gwałtów i przez stosowanie nawet tortur, odrywających całe miljony dusz od prawdy i wiodących ich na manowce fałszu, to mógł rząd polski wydać nie ukaz, ale bodaj przemówić roztropnie i z miłością do tego zbłąkanego, ale w gruncie rzeczy bardzo dobrego ludu, odciągając go od manowców fałszu i przyprowadzając napowrót do prawdy. A mógł to uczynić tem łatwiej, że schizma zbankrutowała, że cerkiew była rozbita jak stado owiec, w które wilk uderzy i że popi byli zdezorjentowani i albo pouciekali do Rosji, albo nie wiedzieli co z sobą zrobić. Nie uczyniono jednak tego. Zaślepienie i walki partyjne, od samego początku, nie pozwoliły dojrzeć doniosłości chwili i olbrzymich korzyści, leżących w niej już nietylko dla Kościoła, o który tym panom nie chodziło, ale zwłaszcza dla państwa. Umocniwszy Kościół na kresach i stworzywszy silne szkolnictwo polskie, byłoby się tam wystawiło twierdzę na pewno silniejszą od federalistycznych mrzonek i zdyskredytowanych ugodowych koncepcyj. Lecz nie uczyniono tego. Pozwolono ochłonąć z przerażenia duchowieństwu prawosławnemu, patrzano przez palce i nawet z mało tajonem zadowoleniem, jak się napowrót organizuje i jak skupia naokoło siebie lud. Popi, czując to, zaczęli

podnosić coraz hardziej głowy i mówić ludowi już nie tylko o prawosławiu, ale nawet o powrocie Rosji. Mówili i mówią o tem tem śmielej, ponieważ widzą, że nieraz daje się pierwszeństwo rączej im, aniżeli duchowieństwu katolickiemu. Opowiadał nam ks. proboszcz Kaczmarek z Wielkiej Brzostowicy, gdzieśmy także dawali misje, że w Brzostowicy Małej w powiecie Wołkowyskim, miał miejsce następujący fakt. Oto, ponieważ pop nie miał ziemi a ksiądz miał, więc postanowiono połowę z niej oddać popu. Ostatecznie można się zgodzić, że dotąd wszystko w porządku. Dokonawszy podziału, zapytano księdza, która połowa jest lepsza, a ten sądząc, że jemu zostawią lepszą połowę, wskazał ją z całą szczerością. Tymczasem stało się najniespodziewaniej co innego, bo właśnie popu dano lepszą połowę, a jemu zostawiono gorszą. Tu już chyba każdy przyzna, że to złośliwość i szykana. Prawosławni widząc to że są kokietowani i w dodatku straszeni przez popów, że Rosja może wrócić, stają się mniej chętni do powrotu na łono prawdziwego Kościoła, nabierają odwagi, stają się nawet zuchwałymi, i ledwie że nie uważają „paljaków“ za gości u siebie, i to za gości takich, na których patrzy się prawie z nienawiścią.

Nie wiadomo, doprawdy, co o tem sądzić, czy jest to zaślepienie i źle pojęta tolerancja, czy też wygrywanie prawosławia i wszelkiego sekciarstwa w Polsce wogóle przeciw katolickiej jedności? Sądząc z tego co się teraz w czasie przedwyborczym dzieje, chciałoby się przypuścić raczej to drugie. Radykalizm nasz, zaprzedany masonerji i żyjący na wiarę z rozmaitemi Ninami Rydzewskiemi, Tuwinami, Kaden-Bandrowskimi, i z całą tą przechrzczoną czy polaną kanalją ekszydowską, polakierowaną na sarmacko, która bluźni Matce Bożej i miaułczy na Kościół, nie jest chyba do tego stopnia głupi, żeby nie rozumiał, iż otaczanie opieką prawosławia na kresach równa się osłabianiu tam państwowości polskiej. Pewnie on to rozumie, tylko filozofuje tak: niech to będzie na czas wyborów, wpuśćmy jeszcze pewną ilość popów z sowdepji, otoczmy opieką cerkiew i wszelakie sekciarstwo,

za to ono udzieli nam poparcia i pomoże nam usadowić się w sejmie i w senacie, uzyskać decydujący wpływ na rządy państwa, a potem zlikwidujemy nasze sympatje dla nich. Niestety, mylne to rozumowanie, i szkoda, jaką ono wyrządza państwowości naszej na kresach, nie da się już odrobić. Może to jest takie filozofowanie, a może też i taka nienawiść, która woła z pianą na ustach: „niech raczej zginie Polska, byle nie zwyciężył Galilejczyk i jego Kościół!“ Może..., trudno na razie odgadnąć, ale niedaleka przyszłość pokaże.

Powyższe uwagi odnoszą się do kwestji prawosławia na kresach wogóle, a teraz wracam znowu do tej decyzji, na mocy której cerkiew w Sobakińcach miała być zamienioną na kościół katolicki. Owóż opowiadano nam, że wskutek jakiegoś chorobliwie pojętego współczucia, zarówno niższa władza duchowna jak i tamtejsze starostwo, schowało decyzję pod zielone sukno, a tymczasem schizmatycy zwąchawszy co się święci, przyłączyli do swej parafji przeszło 2.000 prawosławnych z dalszych okolic i uzyskawszy w ten sposób wymaganą liczbę trzech tysięcy, ubezpieczyli się w posiadaniu cerkwi. Rzecz nie do uwierzenia, lecz prawdziwa.

Dlatego też nie należy się dziwić, że na rozpoczęcie misji, które odbyło się pod gołem niebem przy zbudowanym na ten cel ślicznym ołtarzu, przyszło bardzo wielu prawosławnych, ale z każdym dniem liczba ich topniała, a nawróciło się tylko pięciu. Nie tylko że schizmatycy rzadko się teraz nawracają, ale nawet unici przechodzą na schizmę, jak to niedawno miało miejsce we wschodniej Małopolsce, gdzie całe dwie wioski przeszły na prawosławie.

W modlitwie do św. Michała Archanioła, odmawianej po cichej Mszy świętej, jest wzmianka o złych duchach, które na zgubę dusz ludzkich błąkają się po świecie. Widocznie generalissimus piekielny wycofał swe wojska z innych frontów i przetranslokował je na front polski. Nie pozostaje zatem nic innego, jak nieopuszczając rąk, modlić się jeszcze

goręcej niż dotąd, do Hetmana wszystkich potencyj niebieskich, żeby szatana i inne złe duchy, które błąkają się po ojczyźnie naszej, postrącał na ich łby rogate do piekła. Terra tremuit dum Archangelus Michael descendebat de coelo... Obyś niezwyciężony mocarzu niebieski, zebrawszy hufy swoje, z taką mocą spadł na Polskę, ażeby zadrżała wraża moc, i porażona błyskawicą twojej mocy, wyniosła się raz na zawsze tam, ubi inhabitat sempiternus horror. Uczyń to Archaniele jasny przez pamięć na te wiekowe boje, które ojcowie nasi, nasi husarze skrzydlaci, a i lekkie chorągwie petyhorskie, staczały o chwałę Tego, za którym i ty się ująłeś, kiedy z okrzykiem Quis ut Deus! rzuciłeś się jak płomień, na zbuntowane korpusy uwiedzionych duchów, drące się w pysze tam, gdzie w niedostępnem świetle zasiada Najwyższy.

Małżeństw mieszanych zgłosiło się 21, z których jednak naprawić mogliśmy tylko trzy, to jest te, w których strona prawosławna przeszła na katolicyzm. W pozostałych strona prawosławna godziła się zawrzeć ślub w kościele, ale pod warunkiem, że będzie mogła pozostać nadal w prawosławiu. Nie można więc było nic zrobić, bo w archidiecezji wileńskiej nie daje się zasadniczo dyspensy a mixta religione. Dopiero gdyśmy z tamtych stron wrócili na tydzień wypoczynku do Wilna, poszedł ks. dyrektor do ks. arcybiskupa i uzyskał wreszcie pozwolenie na wyjątkowe wypadki, zostawione do jego uznania. Jest to prawdziwy kłopot, bo nieraz bywa tak, że w domu jest po pięcioro i więcej dzieci, wszystkie ochrzczone i wychowywane po katolicku i matka katoliczka, a tylko ojciec schizmatyk, a pomóc nie można. Widocznie ks. arcypasterz ma swoje powody.

Jednemu z tych trzech naprawionych małżeństw ochrzcił ks. dyrektor jedenastoletnią córeczkę. Ojciec schizmatyk z dawnych unitów przeszedł na katolicyzm, matka warszawianka, katoliczka.

Komunij św. rozdaliśmy przeszło sześć i pół tysiąca. Do Bractwa Trzeźwości zapisali się na rok wszyscy, a na

całe życie bardzo wielu, szkoda tylko, żeśmy zapomnieli po patrzeć na spis, żeby wiedzieć dokładnie ile.

W czasie zakończenia misji, przy stawianiu krzyża, zdarzył się wypadek, który mógł się skończyć tragicznie. Już w ciągu misji kręcił się wśród ludzi jakiś badacz Pisma, z sąsiedniej parafji, wszczynając głupie dyskusje na temat prawdziwego kościoła, spowiedzi św., etc. usiłując dowieść nowego objawienia z za Oceanu wyrwanemi tekstami z Pisma św., a co wpływowszym Maćkom i Bartkom, o których przypuszczał, że stać się mogą latarkami, w które on powtyka swoje amerykańskie szabasówki, także dolarami. Gorliwy ten apostoł, (a doprawdy, że trzeba było w nim podziwiać odwagę, albo raczej zaślepienie i swego rodzaju gorliwość), wrócił jakiś czas temu ze Stanów Zjednoczonych, pozostaje w ciągłym kontakcie z badaczami Pisma i otrzymuje od nich propagandowe zasiłki w postaci dolarów i rozmaitych broszurek. Raz zaczepił nawet ks. dyrektora, ale ten zbył go krótko, a i ludzie raczej zeń pokpiwali, zamiast go brać na serjo. W chwili, kiedy ks. dyrektor skończył kazanie pod krzyżem, w którem przestrzegł ludzi przed fałszywymi prorokami, rozległo się wołanie z tłumu: „misjonarzu! misjonarzu!“ Nie zwracając na to uwagi, wróciliśmy w procesji do kościoła przed ołtarz i zaintonowaliśmy Te Deum. Nagle wszczął się straszny tumult i krzyk przed kościołem. Śpiew uwiązł nam w gardle i poodwracaliśmy głowy, sądząc, że może krzyż się przewrócił, bo był bardzo wysoki i dął silny wicher. Atoli w tej samej chwili zawołał ktoś z chóru: „Badacza Pisma biją!“ — „No to niech mu tam porządnie skórę przetrzepią“, pomyśleliśmy sobie, i tem głośniej podjęliśmy na nowo przerwany hymn. Pokazało się później, że gdyśmy już weszli do kościoła, on wylazł na ten sam stół, z którego ks. dyrektor mówił przed chwilą kazanie i począł urągać krzyżowi i nawet rzucać nań piaskiem. Tego było już za wiele rozentujazmowanym misją tłumom. Porwali cegieł, kamieni i poczęli w niego walić. Amerykański rewelator wi dząc, że to nie przelewki, znikł ze stołu i usiłował schronić

się do kościoła. Lecz tłum odtrącił go, wołając: „a ty heretyku! bluźnierco! do kościoła się teraz chronisz? precz z nim!“ i znowu spadło mu na grzbiet kilka odłamków cegieł. Zwinął się jak tropiony lis, przesadził płot, i buch do rowu. Tłum za nim. Szczególniej zapalonym okazał się devotus femineus sexus. Wymykał i ślizgał się rowem jak wąż, ale padł zalany krwią i nie wiadomo czyby nie był w tym rowie osiągnął palmy męczeńskiej i nie przysporzył badaczom nowego świętego, gdyby go nie była otoczyła policja i nie odprowadziła do najbliższego posterunku. Nawet jeden z policjantów został zraniony kamieniem w rękę. Badaczowi wytoczono jak się zdaje później proces o zakłócenie spokoju w czasie nabożeństwa, bo pisał o tem coś ks. proboszcz do ks. dyrektora, lecz nie dowiedzieliśmy się dotąd jak ostatecznie cała sprawa się skończyła. Zresztą i bez ewentualnej kary sądowej miał za swoje, a chęć apostołowania na rzecz objawienia z krainy automobilów i jazz'u odbiegła go pewnie na długi czas.

Proboszczem w Sobakińcach jest, jak już wspomniałem ks. Korń, rodzony brat jednej z Szarytek z prowincji krakowskiej. Człowiek o najzłotszem sercu, z którego natoczył by ci krwi i podał, gdybyś zechciał pić. Było atoli i mleko świeże i woda z pobliskiej głębokiej studni i miód pracowicie zniesiony przez pszczoły z sobakińskiego Hymetu, i kwasek domowej roboty, ktory wysadzał korki z łabędzich szyj pękatych butli, i walił nimi w sufit, jak granatami, więc nie było potrzeby pić krwi.

Pożegnawszy się z nim serdecznie, puściliśmy się o godzinie drugiej po południu w powrotną drogę na stację do Marcinkaniec. Dzień był pochmurny, więc pospieszaliśmy, żeby przed nocą przejechać jak najwięcej puszczy. W Horodyszczach zmieniliśmy konie, jadąc teraz każdy na osobnym wózku w jednego konia. Noc zapadała prędko, bo grube firanki chmur przesłoniły zachód i zaniosło się jak na ciemną jutrznię. Jakoż niebawem i zaczęła się. Wiatr targnął puszczą, nastroił stare dęby i buki, podał ton sosnom,

brzozom i osikom, i zaczęły się lamentacje, w których stary prorok, ten z gruzów i zgliszcz Jerozolimy, byłby odnalazł swój smutek i płacz i swoją skargę, bijącą w niebo krzykiem serdecznym. Lamentatio Jeremiae... zdawały się zaczynać dęby basem takim, który zdawał się wychodzić z ich odziomków aż gdzieś nisko od samej ziemi, za nimi wpadły pierwszym basem młodsze nieco buki, potem sosny rozpostarły swój tęskny szept, a weń whaftowały się brzozy swem srebrnem łkaniem, które znowu pochwyciły drżące osiki i uderzając w drobne przestraszone listki, niby w maleńkie „cinelli", wydawały dźwięk podobny do cichego grania polnych koników. Zrobiło nam się ogromnie tęskno, i zdawało nam się, że dusze nasze są w tej chwili jak wielkie nastrojone harfy i grają razem z puszczą... Jechaliśmy tak długo, długo, dumając. A było o czem dumać. Jest bowiem gdzieś w puszczy w tych stronach tak zwana „mogiła dziewicy". Stara wieść niesie, ża w czasie powstań dzieweczka polska, nieznanego nazwiska, zaprowadziła cały oddział moskali, tropiący powstańców, na bagna, w których wielu się potopiło, a ci którzy ocaleli, zamordowali ją w okrutny sposób. Wdzięczni powstańcy pochowali ze czcią męczennicę i usypali jej wysoką mogiłę. Lud nazwał ją „mogiłą dziewicy" i osnuł przędzą tęsknych legend. Strzeże jej zazdrośnie puszcza w swych mrocznych głębiach, dumają nad nią brodate dęby, i buki stare, a sosny szepcą ciągle: „Wieczne odpo czywanie", i płaczą nad nią żywicznemi łzami... Pewnie nocami siada na niej Anioł biały i gra na srebrnej harfie leśne melancholje, a zwabione sarny schodzą się i patrzą weń szeroko otwartemi, zdziwionemi oczyma... o tej to mogile dumaliśmy.

Wtem z wozu, jadącego na przedzie, ozwał się głos chłopca, trochę z białoruska: „ojczeńka, nie możu jechać dalej, bo nic nie widać, treba zapalić słomu". I rzeczywiście ciemność była taka, iż zdawało się, że można ją było bić po gębie, od czego jednak dostawała sińców i robiła się jeszcze ciemniejszą. Godzina była blisko wpół do dziewiątej,

a do stacji mieliśmy jeszcze 7 klm. W dodatku w ciągu tygodnia popadywały obfite deszcze, więc woda powychodziła z bagien i zalała szeroko las i drogę. Kiedy więc chłopiec wziąwszy słomy z siedzenia, ukręcił wiecheć i zapalił go, oczom naszym przedstawił się straszny widok. Wszędzie, jak daleko, sięgał krwawy blask palącego się wiechcia, widać było tylko wodę, cichą jakąś i złowrogą, a z niej wyrastające grube drzewa, oświecone na jakie dwa trzy metry od dołu, a resztą gubiące się gdzieś w ciemnościach ponad naszemi głowami. Zdjął nas naprawdę lęk, bo był tam w pewnem miejscu, jakeśmy sobie zapamiętali, lichy drewniany mostek, którego teraz z pod wody nie było widać. Wystarczyło więc zjechać na kilka centymetrów, a mogliśmy się stoczyć w głębokie bagno i mieć tę przyjemność, że wilki zawyłyby nam requiem, zjadłszy nas przedtem bez reszty. Lecz nie było rady, sprytny chłopak dodawał ciągle słomy do palącego się wiechcia i brodząc w długich butach aż poza kolana w wodzie, szedł naprzód i prowadził konia za uzdę. Musieliśmy chyba wyglądać jak szatani Miltona, człapiący na jakieś uroczysko w gościnę do kum-czarownic. Po pewnym czasie wydostaliśmy się znowu na suche miejsce i wreszcie zajechaliśmy na stację w pozycji, jak się to mówi, bardzo rozczulającej. Wobec tego bowiem, że chłopcy spalili siedzenia, siedzieliśmy na deskach złamani czy zgięci tak, że nogi nasze od kolan w górę i przyczepiony do nich tułów tworzyły kąt prosty, a zadarte nosy zdziwionych trzewików patrzyły nam prosto w oczy i zdawały się śmiać bezczelnie.

Mając jeszcze chwilę czasu do nadejścia pociągu, kupiliśmy bilety i na kolację rozdarłszy, niby dwa jastrzębie, jakąś leciwą kurę, ale już na szczęście nieżywą, odsapnęliśmy nieco. O godzinie 10-tej i 2 minuty odjechaliśmy do Białegostoku, dokąd przybyliśmy o godzinie 12-tej. O godzinie 1-ej nadjechał z Warszawy ks. Matelski i razem już we trzech pojechaliśmy do Brzostowicy. Stamtąd o godzinie 5-ej nad ranem zabrało nas auto państwa Łempickich do Brzostowicy Wielkiej. (C. d. n.)

Siostry Miłosierdzia wśród robotników polskich w Les Gautherets (Francja).

(Z listów Siostry X.). (Dokończenie).

Urządzanie „Kropli Mleka“ wreszcie się skończyło, więc od 3-go sierpnia ta instytucja zaczęła funkcjonować. Ale trzeba było jeszcze sporej pracy przygotowawczej. Trzeba było znaleźć ludzi do różnych prac ręcznych, a mianowicie do płukania flaszek, do regularnej dostawy mleka z sześciu sąsiednich ferm, do obsługi kotła, do rozdawania mleka według wieku dzieci, do ważenia niemowląt, do prowadzenia ksiąg i konsultacyj lekarskich. Ponieważ w książkowości tej język francuski jest obowiązujący, dlatego musiałam sama tego się podjąć.

Dotąd przy poradach prawnych w naszym „dispensaire“ był tłómacz, zaangażowany przez dyrekcję. Bez tłómacza nie można się obejść. Ale odprawiono tłómacza. Z dniem 16-go sierpnia Siostra Bronisława zaczęła swoje odwiedzanie chorych. Odtąd już stale do nich chodzi. Polacy widząc Siostry przy pracy, zaczęli do nas przychodzić z najrozmaitszemi sprawami. Rozmównica Sióstr stała się salą porad przeróżnych, biurem pośrednictwa pracy, trybunałem i sądem, bo wyobrażają sobie, że Siostra może być wszystkiem: sędzią pokoju, pisarzem, doradcą; jakiej nam trzeba roztropności! Jeżeli każda Siostra Miłosierdzia musi być roztropna, to w naszych warunkach trzeba nią być podwójnie. Jak to nieraz trudno pogodzić pokłóconych małżonków, dopomóc oszukanej dziewczynie, ustrzec ją przed cudzą krzywdą a przed własną rozpaczą, dać wsparcie tam gdzie trzeba i kiedy po-

trzeba. Czy postępują według rad, po które przyszli? Czasem tak. Ale niezawsze. Co zabiera dużo czasu, to czytanie im listów, a potem odpowiadanie na nie. Dzięki Bogu, nieraz mamy okazję dać im małą lekcję przy tych usługach, jakie im oddajemy. Oni chętnie ją przyjmują.

Z dniem 1-go października zaczyna się szkoła. Wszystkie dziewczęta niżej lat 13 opuszczają Siostrę Teofilę, bo idą do szkoły. Tylko starsze przychodzą do niej na robótki codzienne od godz. 9—11, a popołudniu od godz. 1—4. Każda panienka przynosi z sobą bieliznę do naprawy, to pończochy do cerowania, to znowu „heklowanie“ jak tu mówią, to ubranka do obszycia, a biedna Siostra Teofila ma prawdziwy kłopot, żeby zadowolić całą swoją dzieciarnię. Każda z konieczności rzeczy jest innego usposobienia, ale wszystkie mają równe wymagania. Ażeby wszystkie swoje panienki przymusić do mówienia po polsku, Siostra przyniosła książkę z zabawnemi opowiadaniami. Ale znowu trudność. Nikt nie chce czytać głośno, bo nikt nie umie dostatecznie poprawnie czytać po polsku. Więc znów Siostra to musi. Ale to jest dla nich wielką nagrodą, że Siostra przez chwilę czytała dla nich. Potem już prędzej któraś z nich się ośmieli i czyta głośno.

W czwartek następny wszystkie dzieci całego Les Gautherets przyszły z wielką radością do patronażu i przyrzekły, że przychodzić będą każdy czwartek i każdą niedzielę.

W tym czasie „Kropla Mleka“ funkcjonuje stale; ma 40 niemowląt. Tylko tyle, bo w naszych stronach trudno więcej mleka dostać. W każdy piątek przychodzą do nas matki z niemowlętami. Jest wtedy u nas zawsze lekarz. Odbywają się konsultacje lekarskie dla matek i dla dzieci poniżej 15 miesięcy. Zaczyna się od ważenia dzieci na specjalnej wadze. Wszystkie dzieci górników i urzędników kopalnianych mieszkających w Les Gautherets, Les Baudras i Escarts mają prawo zgłosić się do „Kropli mleka“. Korzystać z mleka mogą tylko najbiedniejsze. Są to te, które są chore i te, których matki są chore i nie mogą karmić same. Nie-



raz trzeba czekać parę tygodni, aby być dopuszczonym. Na jesień chorych zwykle jest daleko więcej. Tak samo więcej i częściej musi wtedy Siostra swoich chorych odwiedzać w mieszkaniu.

Wszystko idzie takim trybem zwyczajnym aż do św. Barbary, patronki górników.

Wizyta X. Rektora Misji Polskiej. Dzieci są przestraszone, bo X. Dziekan im powiedział, że będą pytane i że trzeba dobrze umieć katechizm. X. Rektor będzie pytał katechizmu przed wszystkimi ludźmi. Każdy uczy się na gwałt, aby nie być zawstydzonym.

Ponieważ w zimie zabawy się odbywają różne, jedne mniej inne więcej przyzwoite i przyciągają dużo ludzi, a nawet i dzieci, dlatego uważałam za odpowiednie urządzać zebrania z obrazami świetlnemi. Z łaski Bożej doznałam w tem pomocy od pewnej miłosiernej osoby, wielkiej przyjaciółki Polski, która jeszcze wtedy, gdy byłam w Dąbrowie Górniczej dopomagała mi we wspieraniu wdów i sierót. Kupiliśmy więc aparat tak samo jak przeźrocza w Bonne Presse. Sprawiło to wiele uciechy małym a także dorosłym. Najważniejszem było to, że te biedne dzieci spędziły w każdą niedzielę parę godzin u nas.

Aby przymusić dzieci, by dobrze po polsku mówiły, przygotowałyśmy uroczystość na 25-go grudnia t. j. na święta Bożego Narodzenia. Były więc śpiewy, deklamacje i dwie małe sztuki teatralne. W miarę jak zbliżały się święta Bożego Narodzenia, miałyśmy zajęcia coraz więcej, bo każde z dzieł naszych miało swoją odrębną uroczystość. Naprzód najmniejsze dzieci, te, które należały do „Kropli Mleka“, przybyły na rękach matek swoich patrzeć dużemi oczętami na drzewko przystrojone dla nich w poczekalni, która w tym dniu była za mała, byłaby się przydała, aby była 3 razy większa. Każde niemowlę dostało po jednym ubranku, po jednej zabawce, a oprócz tego jedno po fartuszku, inne po parze trzewików lub po czapeczce. Matki z tego miały więcej radości, niż dzieci, które zupełnie nie rozumiały tej historji. Potem dzieci

patronażu naszego i dzieci uczęszczające do szwalni, miały drzewko w swojej sali. Pierwsze otrzymały cukierki, a drugie dostały podarunki wygrane z loterji. Siostra naprzód pokazała przedmiot, który szedł na loterję, a X. Dziekan wyciągał los, na którym było nazwisko dziecka. Co to za radość była! co za uciecha! A to trwało 2 długie godziny.

Przyszła potem kolej na matki różańcowe i na śpiewaków. W tym dniu wszystko trwało dłużej. Przemowy, śpiewy i dwa przedstawienia zajęły dużo czasu. A wyciąganie losów też było długie, bo było ich wszystkich aż 300. Opatrzność Boża o wszystkiem pamiętała ku wielkiemu źdźiwieniu wszystkich. Co do mnie, to mogłam tylko dziękować P. Bogu i upokarzać się, bo nie rozumiałam jak to wszystko tak jakoś samo się zrobiło. Wszystkie stowarzyszenia prosiły koniecznie, żeby Siostry brały udział w ich uroczystościach. Trzeba się było zgodzić. Tak bardzo prosiły. Szkolne uroczystości Bożego Narodzenia odbyły się pod przewodnictwem X. Dziekana i Sióstr, bo ani, dzieci, ani nauczycielstwo nierozumiałoby przyjemności bez nich.

Rok 1925 zakończyliśmy w Les Gautherets nieszporami uroczystemi i podziękowaniem P. Bogu za łaski otrzymane oraz nabożeństwem przebłagania.

Wszystkie nasze dzieła w ciągu dalszym rozwijają się jak w roku ubiegłym. Dopiero pod koniec miesiąca Marji przyszło mi na myśl, żeby założyć różaniec wśród naszych dziewcząt, które już teraz znałyśmy daleko lepiej, A czemuby nie założyć Stowarzyszenia Dzieci Marji? To byłoby przecież więcej w duchu zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Właśnie nie bardzo można. Nasze panienki zanadto lubią taniec. A mojem zdaniem dziecko Marji nie powinno chodzić na zabawy, gdzie się tańczy. Widziałam za dużo w tym krótkim czasie, jak jestem w Les Gautherets. Mają więc takie stowarzyszenie jak matki różańcowe, a na początku ich jest 60. Dosyć jak na początek. Zebrania odbywają się w ostatnią niedzielę miesiąca w sali patronażu dziewcząt.

W dzień Bożego Ciała t. j. 6-go czerwca odbyła się pierwsza komunja św. jak przed rokiem. Przedtem były dla dzieci rekolekcje przez trzy dni, a potem procesja Bożego Ciała. Po południu mieliśmy poświęcenie sztandaru dzieci z patronażu. Na tle ciemno - niebieskiem jest Matka B. Częstochowska. a naokoło wezwanie: „Królowo nasza, módl się za nami“. Po drugiej stronie jest orzeł biały z napisem: „Kółko Młodzieży Żeńskiej — Gautherets 2 VIII. 1925“. Aby nie budzić zazdrości, zaproszono wszystkie towarzystwa do trzymania sztandaru w czasie poświęcenia. Był to ładny moment, kiedy po prostej i szczerej przemowie X. Dziekan kazał sztandar Różańca św. położyć na balustradę komunii św. Na ten dzień zaś ułożono w krzyż sztandar św. Barbary i św. Joanny d'Arc, a na nie wszystkie nowy sztandar, który miał być teraz poświęconym. Kiedy poświęcenie już było skończone, wszystkie sztandary podniosły się razem, aby wspólnie ukłonić się trzy razy Najświętszemu Sakramentowi. Dziewczęta wszystkie, i ta, która niosła sztandar i te, które trzymały wstęgi, były ubrane w narodowe stroje krakowskie. Od tej chwili nasze panienki zawsze mają już stałe miejsce we wszystkich procesjach i pochodach.

Jak każdego roku, tak i teraz odbyła się pielgrzymka w czerwcu do Paray-le-Monial w oktawie Serca P. Jezusa.

Z końcem lipca zaś zakończenie roku szkolnego i rozdawanie nagród z udziałem X. Dziekana i Sióstr naszych. Była to znów wielka radość dla wszystkich dzieci. Nauczycielstwo nasze, które z takiem poświęceniem pracuje dla polskiej dziatwy, patrzało na owoce całorocznych wysiłków. Przyjemnie im musiało być, że cieszą się uznaniem w całej kolonji, przywiązaniem małych, szacunkiem starszych.

W sierpniu znów zaczęłyśmy tak jak przed rokiem gromadzić dzieci w szkole wakacyjnej. Miała też kolonja wizytę X. Biskupa Jełowickiego z Lublina, któremu towarzyszył X. Rektor Misji Polskiej. Potem w październiku początek nowego roku szkolnego oraz nowe rozpoczęcie szwalni naszej.

Na święta Bożego Narodzenia tym razem dzieci grały już dużą sztukę teatralną na imieniny X. Dziekana, bo zrobiły już znaczne postępy w języku polskim i mniej między sobą mówią po niemiecku. Wspólne wysiłki nauczycielstwa, X. Dziekana i Sióstr osiągnęły ten rezultat, który wszyscy stwierdzają. Pod tym względem zgodnie działamy i wspólna praca wydaje piękne owoce. „Kropla Mleka“ rozwija się dalej, ale z pewnemi trudnościami, bo niełatwą jest rzeczą w tej okolicy dostawa większej ilości mleka. Chorych odwiedzamy po domach stale i pielęgnujemy innych w naszem ambulatorjum (dispensaire), a nasi dzielni i znani chórzyści jak mogą sławią Boga.

Dnia 16-go marca 1927 pod opieką naszej błogosławionej Matki, a w drugą rocznicę naszego wyjazdu z Warszawy rozpoczęłyśmy za zgodą X. Dziekana dzieło św. Dziecięctwa. Dotąd ci mali nie mieli stowarzyszenia specjalnego dla siebie. Jak na początku, to te maluchy nie bardzo rozumiały celu stowarzyszenia, ale pomału dojdą do tego. Na razie jest zapisanych 180 i nieco dorosłych. Śmiało dalej — a z pomocą Bożą wszystko będzie.

Aby wynagrodzić dzieci za grzeczne zachowanie się, a rodzicom sprawić radość, Siostra Teofila urządziła rozrywkę, która ogólnie bardzo się podobała i za którą nam bardzo dziękowano. Prezes komitetu na zakończenie wypowiedział przemowę górną, w której wyraził wdzięczność w imieniu wszystkich mieszkańców kolonji. Zrozumieli to wszyscy dobrze, ile trudu zadała sobie Siostra, aby tak wyćwiczyć tych malców, niebardzo łatwych do wyuczenia.

Święto narodowe 3-go maja w tym roku obchodzono w ten sposób, aby matki i małe dzieci brać mogły w niem udział, bo Montceau-les-Mines zbyt jest odległe od Les Gautherets, więc dobra połowa ludności nie uczestniczyła w niem, nie mogąc domu opuszczać.

Również w maju dnia 12-go miałyśmy wizytę naszej Czcigodnej Siostry Wizytatorki z Warszawy. Niestety była u nas zbyt krótko. Dzieci zrobiły małe przedstawienie, po-

tem wystawę robótek swoich. Było wiele podziwiania sprawności dziecięcej. Poszłyśmy też z Szostrą Wizytatorką odwiedzić panie, żony dyrektorów. Te panie przyszły na wystawę do nas, chcąc przytem złożyć uszanowanie swoje Siostrze Wizytatorce. Oczywiście największą radość miały dzieci, bo Siostra Wizytatorka rozdawała im ładne obrazki i słodziutkie cukierki.

Święto Bożego Ciała w czerwcu było podwójnie uroczyste, bo przed nieszporami odbyło się poświęcenie sztandaru kółka śpiewaków. Sztandar ofiarowała od siebie Siostra Wizytatorka. Jest on specjalnie drogi i ceniony przez wszystkich. Bo naprzód ofiarowany został przez serce polskie, serce naszej Siostry Wizytatorki. Potem haftowały go ręce polskie na tkaninie polskiej i to jedwabnemi i złotemi nićmi pochodzącemi z ojczyzny. Wreszcie jako godło nosi obraz Królowej Korony Polski z napisem „Matko Boska Częstochowska, czuwaj nad naszą Ojczyzną". Ta strona jest haftowana biało. Odwrotna zaś strona ma haft w barwach narodowych z literami srebrnemi okalającemi orła polskiego: „Bóg i Ojczyzna. Pamiątka z Polski. 1927". Wszystko to jest tak piękne, że inne sztandary nie śmiały stanąć obok niego jako chrzestne. Dlatego wszyscy prosili, aby chrzestnymi byli X. Dziekan i Siostra Przełożona, którzy trzymali sztandar podczas poświęcenia. Po poświęceniu oddali go w ręce chorążego i sztandar po trzykroć ukłonił się przed Najświętszym Sakramentem.

Dnia 26-go czerwca mieliśmy wspólną pielgrzymkę do Paray-le-Monial i wybraliśmy się z wszystkiemi sztandarami i chorągwiami.

W lipcu, mianowicie 10 lipca była pierwsza komunja św. dla dzieci polskich. Odbywała się zresztą tak samo jak poprzedniemi laty.

Po zamknięciu szkół otworzyliśmy znów swoją szkołę wakacyjną. Przychodziły dzieci przez całe wakacje aż do 1-go października.

Przyczynek do historji Domu XX. Misjonarzy w Łowiczu.

Napisał ks. *Józef Gaworzewski.*

Księga Pamiątkowa 300-lecia Zgrom. XX. Misjonarzy wydana w r. 1925, pisana była wśród okoliczności mało sprzyjających wydaniu podobnego dzieła. Autorowie poszczególnych części tej księgi rozporządzali stosunkowo krótkim czasem do napisania rzeczy, które normalnie wymagałyby długich i to mozolnych studjów, aby z ukrycia wydobyć wszystkie dokumenta odnoszące się do tych przedmiotów.

Przeważnie też piszący poszczególne artykuły uczuwali brak archiwaljów odnoszących się do historji Zgromadzenia XX. Misjonarzy w Polsce, archiwum bowiem główne Zgromadzenia w Warszawie zostało przez rząd rosyjski skonfiskowane w r. 1864 i tylko niektóre akta oraz spis całego archiwum przez zapobiegliwość konfratrów zostały uratowane i wywiezione, mimo czujnego oka czynowników rosyjskich, do Krakowa. Nic też dziwnego, że w Księdze Pamiątkowej wkradły się pewne błędy, które czas będzie musiał skorygować, a niektóre znów uzupełnić i wyjaśnić. I tak n. p. Lubomla, miejsce urodzenia X. Michała Bartłomieja Tarły, leżąca przy drodze między Chełmem i Kowlem i będąca dziś stacją kolejową, w braku pod ręką słownika geograficznego i z powodu błędu pomieszczonego w Mémoires de la Congrégation de la Mission, nazwane zostało w Księdze Pamiątkowej Lubowla i przeniesione nad granicę węgierską. Mimo jednak tych drobnych braków, Księga Pamiątkowa pozostanie cennem dziełem ujmującem w krótkich zarysach

dzieje Zgromadzenia w Polsce oraz jego bogatą i piękną działalność.

Należałoby jednak gromadzić materjał t. j. akta i dokumenta — i o ile na podstawie zgromadzonych wiadomości da się odtworzyć historję zupełną jakiegoś domu, należałoby napisać monografję tego domu. Zanim jednak to się stanie, trzeba skrzętnie gromadzić wszelkie wiadomości jakąkolwiek drogą zdobyte, bo będą to cenne okruchy, które przydadzą się przyszłemu historykowi Zgromadzenia.

W myśl tego chciałbym czytelników „Roczników" zaznajomić z notatką historyczną, która przypadkiem w Warszawie dostała się do moich rąk, a odnosi się do naszego dawnego domu w Łowiczu. Wiadomości te będą uzupełnieniem tego, co podaje Księga Pamiątkowa na str. 98.

Autor notatki bardzo dobrze obznajmiony z wszelkiemi szczegółami dotyczącemi domu Łowickiego, czerpie swe wiadomości od X. Franciszka Orlikowskiego, jak wiadomo ostatniego superjora tego domu, jak sam o tem wspomina.

Omawiany rękopis przytacza nasamprzód katalog wszystkich księży i braci, mieszkających w Łowiczu w r. 1866, zaznaczając, że liczba misjonarzy w Łowiczu w tym roku ulegała ciągle zmianie, bo zwożono misjonarzy do Łowicza z różnych domów zamykanych przez rząd rosyjski w b. Królestwie, a znów potem w Łowiczu ich rozpędzono na prace po różnych parafjach.

W dniu 26 lipca 1866 r. byli następujący konfratrzy w Łowiczu:

X. Franciszek Orlikowski, superjor domu. Urodzony 5 września 1804 r. w Kowlu, wyświęcony na kapłana w r. 1825, zmarł w Łowiczu 15 stycznia 1883 r., pochowany w miejscowym cmentarzu Emaus w grobie swego przyjaciela X. Pawlickiego.

X. Antoni Dąbrowicz, urodzony w Łęczycy dnia 12 czerwca 1791 r. (wzgl. 1796?), wyświęcony na kapłana w r. 1819. Był kolejno profesorem w Płocku, rektorem Seminarjum w Krakowie na Stradomiu (1839—1856), dyrekto-

rem alumnów w Warszawie, nauczycielem religji w Łowiczu. W r. 1876 wyjechał z Łowicza do Krakowa i tu na Stradomiu dokonał swego żywota w r. 1884. Ks. Kazimierz Brzozowski urodz. 2 marca 1791 w gub. Augustowskiej. Ks. Franciszek Jabłoński urodz. 28 marca 1796 w gub. Augustowskiej. Ks. Jakób Krajewski urodz. 15 lipca 1798 w gub. Płockiej. Ks. Alojzy Puławski urodz. 5 września 1810 w gub. Augustowskiej. Ks. Franciszek Sładczyński urodz. 3 października 1779 w gub. Płockiej. Nadto byli tam jeszcze braciszkowie: Józef Etorowicz, przywieziony w r. 1864 z Warszawy, Tomasz Kobyliński i Jakób Michałowski. Bracia ci otrzymali pewną drobną sumę pieniędzy od rządu rosyjskiego z poleceniem wyjazdu z Łowicza. Księża zaś wszyscy przeniesieni zostali do Domu XX. Emerytów w Łowiczu jeszcze w r. 1866.

Autor omawianej notatki opisuje także majątek Zgromadzenia należący do domu Łowickiego, a mianowicie wylicza nasamprzód dom, o którym mówi na podstawie księgi Boni Ordinis z r. 1789 następujące słowa: „Klasztor XX. Misjonarzy z korytarzami, celami, dziedzińcem, kaplicą, cmentarzem, murowany o 3 piętrach, między sąsiedztwem ulicy Mostowej z jednej strony a kamienicą szlachetnych Bogumiła i Macieja Palatyńskich z drugiej; grunt, na którym stoi, zawiera w sobie z przodu sążni 29".

Zaznaczyć należy, że Dom Łowicki należał do największych i może najpiękniejszych domów Zgromadzenia w prowincji warszawskiej. Dziś jeszcze pięknie utrzymany, mieści w swych murach 2 gimnazja i jedno seminarjum nauczycielskie. Daje to miarę pojemności tego budynku. O przepięknej i nadzwyczaj bogatej kaplicy przylegającej do domu, zwanej ogólnie prymasowską, bo Księża Prymasi przeważnie swym kosztem na rzecz Księży Misjonarzy ją ozdobili, mowa będzie poniżej.

Oprócz samego domu, w otoczeniu należało do Księży Misjonarzy w Łowiczu 6390 prętów i 83 stopy ziemi ograniczonej starym rynkiem, ul. Wjazdową, Stodolną i Warszawską.

W obrębie tej przestrzeni mieściły się zabudowania gospodarskie, ogrody owocowy i warzywny. Cenna notatka podaje najdokładniejsze wymiary poszczególnych objektów. Własnością też domu Łowickiego były łąki (1191 prętów 34 stopy), pastwiska (283 prętów 69 stóp), nadto pewne nieużytki. W dawniejszym jeszcze czasie własność zgromadzenia w Łowiczu stanowiły folwarki: Dmosin, Wola Cyrusowa, Gost, Szczecin, Łubowidz i Łeżnica Wielka. Folwarki skonfiskowane zostały przez rząd pruski. Natomiast Zgromadzenie otrzymało od rządu w zamian za skonfiskowane majątki 60.000 tynfów na utrzymanie Seminarjum, każdoczesny też superjor Łowicki był „praepositus natus“ kościoła w Dmosinie.

Jakież dalsze losy domu Łowickiego i kaplicy Prymasowskiej? Jak wspomniano wyżej, wszyscy księża Misjonarze zostali przesiedleni do domu XX. Emerytów w Łowiczu znajdującego się na drugim, przeciwnym końcu miasta. Dom zaś dnia 22-go października 1866 r. przekazany został na rzecz szkolnictwa. Inspektor szkolny zawiadomił magistrat miasta, że przystępuje niebawem do adaptacji domu pomisjonarskiego na rzecz gimnazjów męskiego i żeńskiego i domaga się bezzwłocznego usunięcia z domu bibljoteki. Bibljoteka ta, która liczyła 4.138 książek przeniesiona została do Nieborowa, a ks. Prob. Walenty Swinarski umieścił ją na plebanji; miała ona stanowić podstawę do stworzenia bibljoteki dekanatu Łowickiego. Później jednak została przeniesiona do pałacu Książąt Radziwiłłów w Nieborowie, skąd szczęśliwym zbiegiem okoliczności w r. 1924 choć zmniejszona do połowy dostała się w ręce konfratrów Konwiktu Teologicznego w Warszawie [1]). Piękną galerję portretów arcybiskupów gnieźn. (83 sztuk) przewieziono do Archidiecezjalnego Seminarjum w Warszawie [2]). Galerję tę zebrał i uporządkował Abp. Ignacy Krasicki. Skompletował ją ks. Andrzej Klimaszewski superjor

---

[1]) Por. Roczniki obydw. Zgr. r. 1926 nr. 2, str. 138.

[2]) Por. Ks. Pam. str. 99.

Łowicki i zakończył na portrecie Abpa warszawskiego Stanisława Kostki Choromańskiego. Około r. 1858 litograf Pecq skopjował te portrety, Juljan Bartoszewicz skreślił żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich. Dzieło to wydał w Warszawie w r. 1867 Dzwonkowski p. t. „Życiorysy Arcybiskupów".

Kaplica XX. Misjonarzy (prymasowska) służyła dla szkoły katolickiej do r. 1884. Ostatnią mszę św. odprawił na rozpoczęcie roku szkolnego X. Prefekt szkół Teodor Mościcki, poczem kaplica była zamknięta. Dnia 8-go marca 1886 r. wydał Konsystorz warszawski, przez oficjała ks. Bkpa Kazimierza Ruszkiewicza rozporządzenie ks. Prałatowi kollegjaty Łowickiej, będącemu zarazem dziekanem dekanatu, aby kaplicę pomisjonarską opróżniono i oddano do użytku prawosławnym, co dokonanem zostało dnia 3 go kwietnia t. r.

Teraz zaczęło się barbarzyńskie przerabianie kaplicy na cerkiew prawosławną. Świaszczennik Skwarcow z murarzem Ligmanowskim nie mieli pod tym względem najmniejszych skrupułów.

Wielki ołtarz z obrazem P. Jezusa na krzyżu (sama kaplica była pod wezwaniem św. Karola Boromeusza) wywieziony został i umieszczony w kościele w Aleksandrowie. Obraz P. Jezusa Ukrzyżowanego ma być pendzla ks. Antoniego Brygierskiego (1722—1791) odnowiony był pięknie przez Frantza, nauczyciela rysunków w szkole Łowickiej.

Cztery boczne ołtarze wraz z obrazami przedstawiającemi: św. Karola Boromeusza, św. Wincentego a Paulo, Nawrócenie św. Pawła umieszczono w kościele św. Leonarda w Łowiczu. Znalazł tam pomieszczenie też i czwarty ołtarz ale bez obrazu. Obraz bowiem przedstawiający Najśw. Marję Pannę z Dzieciątkiem Jezus na ręku podobno pendzla Ludwika Piechaczka, pokryty sukienką srebrną, będącą arcydziełem sztuki, znalazł się w ołtarzu kaplicy pałacowej ks. Radziwiłłów w Nieborowie.

Inne obrazy, jak: Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus (duży), Matka Boska z Dzieciątkiem (owalny z podpisem:

cop. Guido), P. Jezus jako ogrodnik, Aniołowie przy grobie P. Jezusa, umieszczono w kollegjacie Łowickiej.

Również portrety duże z r. 1718 Kardynała Michała Radziejowskiego z widokiem domu Ks. Misjonarzy, oraz arcybisk. gnieźn. Stanisława Szembeka wielkiego także dobrodzieja Zgromadzenia, umieszczone zostały w Łowickiej kollegjacie.

Zegar wieżowy wywiózł już poprzednio Ks. Piotr Michałowski do Głuchowa, gdzie był proboszczem.

Cyborjum dębowo-hebanowe przyozdobione płaskorzeźbami na srebrnej blasze oraz cenna monstrancja, dar kard. Michała Radziejowskiego oddane zostały do kościoła w Nieborowie.

Do kościoła św. Leonarda w Łowiczu dostały się następujące jeszcze przedmioty: organy, dzwon, szafy górne na kielichy, monstrancje — a na dole z szufladami na ornaty, bieliznę oraz 2 relikwjarze srebrne w kształcie monstrancji i inne rzeczy.

Same zaś kapy, ornaty, bielizna, kielichy i prawie wszystkie aparata dostały się ks. Prefektowi Teodorowi Mościckiemu, który z nabożeństwami dla młodzieży przeniósł się do kościoła Popijarskiego. Zaznaczyć należy, że cenniejsze aparata pochodziły z daru ks. arcybisk. Stanisława Szembeka. Część też, zapewnie najcenniejszych aparatów przewieziono do katedry w Warszawie.

Ławki, drzwi i oddrzwia, wszystko bardzo pięknej roboty znajdują się w Rokitnie pod Warszawą (dekanat grodziski).

Część ławek wstawiono do kollegjaty w Łowiczu w kaplicy Lipskich. W zakrystji też kollegjaty znalazły pomieszczenie piękne obicia ścian 2 zakrystji kaplicy Prymasowkiej wraz z wprawianemi obrazami malowanemi na drzewie a przedstawiającemi doktorów kościoła, sceny z pisma św. i t. p.

Kiedy ważniejsze rzeczy z kaplicy usunięto i zanim kaplicę oddano prawosławnym, wiele rzeczy w tajemniczy sposób znikło, zaczął się wandalizm w całej pełni. Zaczęto zdzierać ze ścian cenne materje, szczątki świętych powyrzu-

cano z relikwjarzy, zabierano dywany, obrazy, zaczęto niszczyć sztukaterje gipsowe, tłuc marmurową posadzkę, aż policja musiała wkroczyć i kres położyć tym haniącym scenom. Sklepienie kaplicy pokryte było cennemi malowaniami al fresco. Obrazy te kosztowały w swoim czasie 1.400 dukatów w złocie. Nie zostawiono ich w spokoju, lecz w r. 1889 sprowadzono ze Siennicy nauczyciela Wereszczagina, rosjanina, który za cenę 200 rs. poprzekształcał i poprzemalowywał sceny piękne z życia św. Karola Boromeusza, domalowywał brody, infuły zamieniał na kołpaki, aby obrazom nadać wygląd prawosławnych malowideł.

Nawet trumny z nieboszczykami nie ostały się na miejscu w podziemiach kaplicy. Zwłoki ks. Antoniego Putjatyckiego załadowano w nocy na wóz i wywieziono na miejscowy cmentarz parafjalny.

Rynny nawet miedziane tak na kaplicy jakoteż i na dachu domu umieszczone, zostały usunięte.

Na szczycie domu były umieszczone dwa piękne wazony z blachy miedzianej, wraz z roślinami również z blachy miedzianej. Po usunięciu ich z dotychczasowego miejsca, zakupił je ks. Michał Radziwiłł i do dziś dnia zdobią one wjazd do pałacu Radziwiłłów w Nieborowie.

Tyle wiadomości zdołałem zebrać na podstawie wzwyż zaznaczonej notatki dotyczącej domu Łowickiego.

Działalność Księży Misjonarzy domu Wileńskiego na Litwie i w samem Wilnie za czasów dawnej Rzeczypospolitej.

(Ciąg dalszy).

10. X. Wojciech Czerechowski [1]) (1806—1809).

X. Wojciech Czerechowski pochodził ze stanu szlacheckiego z Podlasia, a urodził się dnia 10 kwietnia 1765 roku. Pierwsze nauki, elementarne i klasyczne, pobierał w Tykocinie. Dnia 7 grudnia 1783 wstąpił w Wilnie na Górze Zbawiciela do Zgromadzenia XX. Misjonarzy, gdzie też dwa lata później, w samą uroczystość Niepokalanego Poczęcia, przystał na zawsze i nieodwołalnie do ewangelicznych pracowników św. Wincentego [2]). Po wyświęceniu na kapłana był profesorem św. Teologji i historji w misjonarskiem seminarjum, prefektem i nauczycielem konwiktu szlacheckiego, asystentem domu Góry Zbawiciela, a w latach 1806—09 także superjorem tegoż domu, już centralnego prowincji litewskiej. Po złożeniu superjorstwa poszedł z woli ówczesnego wizytatora X. Pohla na profesora św. Teologji do seminarjum diecezjalnego u św. Jerzego w Wilnie [3]) (1810—17) jako na

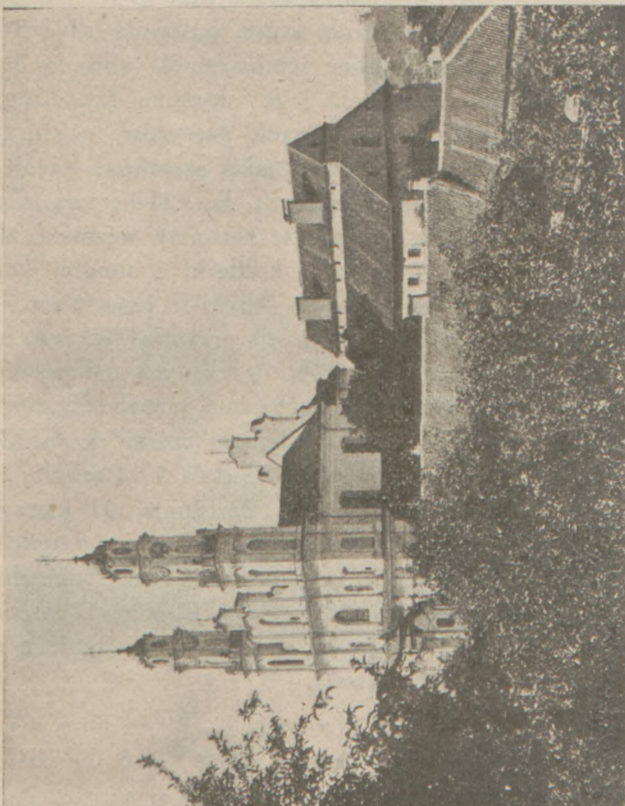
---

[1]) Catalogue du personnel, str. 168; Akta X. Pohla (p. Cz.), Catalogus domorum et subjectorum str. 69 nr. 654.

[2]) Ibid.

[3]) Cfr. X. Kurczewski, Biskupstwo Wileńskie, r. XX. Seminarja diecezjalne w diecezji wileńskiej (324—352) str. 334 i nast., oraz X. Dylla, Działalność oświatowa Zgromadzenia XX. Misjonarzy w Polsce: Diecezja wileńska str. 203—205 w K. P.

ostatnią placówkę działalności swojej. Pobyt w seminarjum diecezjalnem w niczem nie zmienił stosunku X. Czerechowskiego do naczelnej władzy, aczkolwiek przestawał pod bokiem ówczesnego regensa seminarjum, a zarazem superjora



Kościół Zbawiciela XX. Misjonarzy w Wilnie.

tamtejszych misjonarzy, X. Jana Niedźwieckiego, zdążającego per fas i nefas jedynie do zaspokojenia swojej ambicji przez samowolne przyjęcie najpierw parafji święciańskiej, a następnie kanonji brzeskiej, a zmierzającego przez to do powolnego zerwania na stałe ze Zgromadzeniem, którego członkiem pozostać przecież na zawsze był się zdeklarował.

X. Czerechowski zaś zawsze stawał po stronie praworządnych czynników; wyłącznie oddany pracy naukowej w seminarjum, oraz społecznej w konwikcie X. bpa Pilchowskiego, — innych ambicyj nie miał — jest ostatnim przedstawicielem Zgromadzenia XX. Misjonarzy w wileńskiem seminarjum diecezjalnem. Po jego śmierci, która nastąpiła dnia 3 marca 1817 r. w szczupłej izdebce seminaryjnej, oddano Zgromadzeniu na Górze Zbawiciela jego skromną spuściznę, cośkolwiek ze sprzętów i zapisanych papierów, o którą teraz zawzięcie począł się prawować jakiś szlachcic, mieniący się bratem zmarłego, mianowicie p. Bartłomiej Czerechowski [1]), przypuszczając, że skromny węzełek, złożony „z garderoby, paru poduszek, kołderki i ubogiej kapotki" i nieznaczny oblig wartościowy — było to jego wiano — jakie był w roku 1783 na Górę Zbawiciela przyniósł, w ciągu następnych lat bez prawa własności użyczanych mu później rzeczy, ale jedynie na mocy ich używania, urosły do olbrzymiej majętności, lecz złośliwem kreśleniem czernideł na XX. Misjonarzy w „Kurjerze Litewskim" z dnia 17 stycznia 1818 r. wymowny adwokat Dauksza p. Bartłomiejowi niczego nie przychylił. Tymczasem zmarłego X. Wojciecha uczciło Zgromadzenie jako swojego kapłana, uczcili i wierni jako dobrego i wyrozumiałego pośrednika między Bogiem i ziemią, nie baczącego na zyski doczesne, ale dbałego jedynie o spokój ich dusz dla przyszłej chwały.

11. X. Józef Stankonowicz [2]) (1810—1813).

Jako potomek szlacheckiego rodu urodził się X. Józef Stankonowicz na Litwie, w diecezji wileńskiej, dnia 4 grudnia 1764 r. Klasyczne nauki ukończył w Kownie, następnie

[1]) Akta X. Poh'a (p. Cz.).

[2]) Catalogue du personnel, str. 577; Catalogus domorum et subjectorum str. 74 nr. 728; Mémoires, Pologne XI, str. 694 - 699.

zapisał się w poczet uczniów uniwersytetu wileńskiego. Zrazu ani życia, ani pracy naukowej poza uniwersytetem nie widział i nie szukał; wnet jednak zetknąwszy się z X. Hussarzewskim, głośnym profesorem wileńskiej akademji i mistrzem Lelewela, a być może, że przygodnie zabłąkał się na jego wykłady, nadspodziewanie z uniwersytetu odszedł i w dwudziestym siódmym roku życia swego poszedł do wileńskich XX. Misjonarzy. Dnia 18 października 1791 r. wstąpił do seminarjum, gdzie też po ukończeniu studjów teologicznych pokazał się kapłanem światłym i przykładnym jako prawa ręka ówczesnego wizytatora X. Pohla. Był profesorem św. Teo-



Kościół i Dom XX. Misjonarzy na Górze Zbawiciela w Wilnie.

logji i dyrektorem seminarjum externum Góry Zbawiciela, następnie prefektem konwiktu szlacheckiego, a w latach 1810—13 superjorem centralnego domu. Po śmierci X. Pohla występuje przez jeden rok jako zastępca „vicarius" wizytatora prowincji litewskiej aż do wyboru X. Dominika Zarzeckiego. Zmarł w Wilnie dnia 26 lutego 1824 r. Jest autorem „*Pamiątki Życia śp. IX. Andrzeja Pohla*".

12. X. Błażej Fabinowicz 1815.

Dnia 3 lutego 1756 r. przyszedł na świat w ziemi i diecezji przemyskiej X. Błażej Fabinowicz. Wykazując się szlachectwem rodowem, wnet przyjętym został do szkół przemyskich, nie bez nadziei, że za pierwszym pozyska i drugie, szlachectwo ducha, ale już jako szermierz i pracownik ewangeliczny. Rzeczywiście, bo zaledwie ukończył szkoły klasyczne, bezzwłocznie, raźnie i ochotnie podążył do Warszawy, aby w Zgromadzenie XX. Misjonarzy wnieść swój młodzieńczy zapał i tam także poświęcić się apostolskiej pracy. XX. Misjonarzy już od dawna znał i dobrze zdawał sobie sprawę z ich ważnej działalności w seminarjum diecezjalnem, gdzie budzili i strzegli zarazem ducha powołań wśród młodych lewitów, wstępujących powolnie na święte wzgórze Sjonu i przyspasabiających się do stanu kapłaństwa św., oraz nie zacieśniali gorliwości swojej do ciasnych granic pracy wychowawczej, jeszcze przez misje, sporadycznie urządzane, przeorywali rolę serc i dusz ludzkich, budząc wszędzie zapał do nowych powołań.

W Warszawie przyjętym został dnia 15 listopada 1778 r.[1]) do Seminarjum internum u św. Krzyża; tam także po dwóch latach seminarjum, a trzech studjum teologicznego wyświęconym został na kapłana. Jaka była pierwsza jego działalność bezpośrednio po wyświęceniu, oznaczyć trudno. To tylko pewna, że czasu darmo nie tracił, ale mając pobudkę swoich przełożonych, bardzo dbałych o gruntowną wiedzę przyszłych nauczycieli w seminarjach i po parafjach, pilnie i gruntownie grzebał w woluminach teologicznych. Zanim jednak posiadł stopnie akademickie doktorat św. Teologji uzyskał zapewnie w Wilnie w którymś roku pierwszego dziesiątka XIX. stulecia — rad nie rad musiał pójść na profesora św. Teologji do któregoś ze seminarjów diecezjalnych,

---

[1]) CdPer. 432; Akta X. Pohla (p. Fab); KP. 127, 123, 217; Smora, XX. Misjonarze w Siemiatyczach, Orszy i Oświeju (w Rocznikach Obydw. Zgromadzeń R. XIX. [1913] str. 33) str. 17.

odchylając się temsamem od przyrzeczonej i zaofiarowanej przez biskupa wileńskiego katedry w wileńskiej akademji. Jeszcze przed rokiem 1800 uwijał się jako profesor z nieodstępną towarzyszką życia swego, to jest książką teologiczną, w seminarjum mohylewskiem, gdzie także po śmierci X. Kazimierza Mieczkowskiego, choć na krótki tylko czas, sprawował rządy regensa. Od roku 1800 — 14 szczęśliwie superjorował w Oświeju [1]) i sławił się nietylko działalnością duszpasterską, ale i pedagogiczną. Zwłaszcza założenie i utrzymanie szkoły zrazu dwuklasowej, bardzo się rozwijającej i zyskującej zawsze uznanie rządowych wizytatorów, uczyniło go głośnym pedagogiem [2]). Jako dziekan „przedlacyński" przez 14 lat, a jako wileński przez rok jeden z łagodnością i dobrocią odnosił się do wszystkich duszpasterzy. Dzięki swojej nieskazitelności i szlachetności był dla każdej kapłańskiej braci bardzo miły i przez wszystkich ceniony. Sam rzutki i pracowity, drugich do pracy porywał. Tu także leży powód, że dla takich przymiotów X. Pohl przybrał go sobie na wicewizytatora, oraz superjora przybocznego misjonarskiego domu, co konwent prowincjonalny w roku 1814 uznał, pochwalił i usankcjonował [3]). Tymczasem X. Fabinowicz aż za rychło sprzykrzył sobie obydwa te urzędy. Superjorostwo oddał już po siedmiu miesiącach, a niebawem zrzekł się dobrowolnie i wicewizytatorstwa, które było mu przyniosło i prawo następstwa.

W roku 1817 podążył jako superjor do Zasławia i w tymże charakterze bierze w następnym roku udział na konwencie prowincjonalnym w Wilnie. W roku 1821 zaś wysyła tylko X. Tadeusza Smółkę w charakterze substytuta na konwent, a sam jeszcze przed rokiem 1824 zwija swoją działalność w Zasławiu, aby w Siemiatyczach spędzić ostatnie

---

[1]) Smora, o. c. str. 17..

[2]) X. Dylla, Działalność oświatowa w KP. str. 217.

[3]) Decreta in Conventu provincionali Congr. Miss. Prov. Lithuaniae a. 1814, art. II.

swoje dni. Dnia 25 lutego 1824 r. oddał P. Bogu duszę swoją, aby w zacisznych Siemiatyczach wytchnąć po pracach i trudach iście apostolskiego życia. Rozbudzonego i śpiewnego druha misjonarskiego z przemyskiej ziemi żegnały obecnie knieje litewskie, ale już uchodzącego z tej płaczącej niwy do siewcy niebieskiego, aby z Jego pełności odebrać pociechę i nagrodę.

13. X. Michał Szelicki 1818.

Tylko dla wiadomości przyszłego dziejopisa, zachęconego przez X. Gaworzewskiego w jego nieco apologetycznie utrzymanym „Przyczynku do historji Domu XX. Misjonarzy w Łowiczu"[1]) do jak najgruntowniejszego wykorzystania zachowanych i mozolnie przekazanych dat i śladów choćby najmniejszych dawnych misjonarzy, pomieszczoną zostanie wzmianka o pięciu-miesięcznym zaledwie superjorze wileńskiej Góry Zbawiciela mianowicie X. Michale Szelickim.

X. Michał Szelicki, w przeciwieństwie do X. Wincentego Sielickiego, późniejszego dyrektora Małego Seminarjum, założonego przez X. Pohla w Smiłowiczach[2]), albo urojonego i wymarzonego przez niektórych historjografów X. Michała Szeliskiego, którego Zgromadzenie do tej pory jeszcze nie oglądało, przyszedł na świat dnia 20 września 1762 r. Kolebka jego, oczywiście szlachecka, stała w diecezji krakowskiej. Jako syn sandomierskiej ziemi ruszył na studja klasyczne do swojego wojewódzkiego grodu, to jest Sandomierza. Zdobytego tamże w r. 1782 wawrzynu nie pokazał na żadnej wszechnicy, choć silne namowy rodziców i drogich przyjaciół chętnieby go były zachowały dla świata. Daremne jednak były wszelkie ich wysiłki. Dnia 25 maja 1783 r. wstąpił do Zgromadzenia XX. Misjona-

[1]) ROZgr. R. XXX. Nr. 2 str. 147 i nast.

[2]) Akta X. Pohla (patrz Katalog osób Zgromadzenia prowincji litewskiej z r. 1818; KP. 123, Mémoires I, Pologne Chapitre X: Maisons fondées dans la province de Lithuaniae: Iłłukszta, Zasław et Białystok.

rzy na Górze Zbawiciela w Wilnie i tam także po odbytem seminarjum internum i chlubnie ukończonych studjach teologicznych otrzymał w roku 1787 święcenia kapłańskie. Pierwsze dziesięciolecie kapłańskie (1787—96) strawił na profesurze w misjonarskiem seminarjum pod okiem i kierunkiem gruntownego teologa X. Andrzeja Pohla, podawając wcale szczęśliwie szczypty wiedzy podręcznikowej, twórczym bowiem niebył, alumnom, externom i internom. Ponadto nie używając spokoju i swobody, uwijał się wartko aż przez sześć lat, aby jako prokurator domu ułatwić czeladzi duchownej, wolnej od trosk powszedniego życia codziennego, spokojną służbę Bożą.

W r. 1797 opuszcza Wilno, aby w Iłłukszcie, najpierw choć przez jeden rok jako asystent domu wyręczyć i wesprzeć podstarzałego już superjora X. Macieja Barthuzela, a niebawem po usunięciu się jego w zacisze domowe w Iłłukszcie, przejąć na swoje barki rządy tego domu (1798—1807)[1]). Wcale szczęśliwą okazała się tu działalność jego. Dobrze pomyślana i doskonale zorganizowana przysparzała chwały Bogu i Kościołowi oraz przynosiła niemały pożytek. Życie parafjalne poczęło bić nowem tętnem, wiara i moralność wcale głębokie zapuszczały korzenie. Nowozałożone seminarjum dla kleru świeckiego jakkolwiek nielicznych, dobrych jednak wydawało duszpasterzy. Sprężyście zorganizowana i ulepszona sześcioklasowa szkoła kładła podstawy oświaty, podczas gdy szpital dla ubogich ciszył bolesny jęk i zaspokajał niejedną nędzę.

Wśród takiej różnolitości zajęć i prac superjora domu, proboszcza rozległej parafji, rektora seminarjum oraz dziekana semigalskiego przez sześć lat, wnet jednak wyzwolił się X. Szelicki z przywiązania do Iłłukszty, a nawet do prowincji litewskiej. Czyżby zniechęcił się do swojej naczelnej władzy i poszedł dla miłej zgody do prowincji warszawskiej?

---

[1]) XX. Misjonarze w Iłłukszcie „Materjały i sprawozdania“ przez Wołyniaka, (Gniezno 1909. Nakładem Księgarni Katolickiej dra Władysława Miłkowskiego w Krakowie) str. 12 i 15.

Raczej tak, aniżeli nie. Czemże bowiem możnaby wytłumaczyć jego stanowisko dyrektora seminarjum internum u św. Krzyża w Warszawie w latach 1808—12?[1]). Czyżby jedynie o pogłębienie ducha pierwotnego i głębsze zapoznanie się z zasadami wychowania młodzieży duchownej chodziło? W dziedzinie domysłów może, lecz w rzeczywistości należy przypuścić, że w gromadce kapłanów, stęsknionych za Koroną i powracających do prowincji warszawskiej, należy się dopatrzeć i osoby X. Szelickiego. Tylko, że inni działalność swą zaofiarowali tej ostatniej prowincji na zawsze, X. Raczyński w Krakowie na Stradomiu, X. Waśniowski w Łowiczu, X. Bieńkowski w Warszawie, X. Wiszowaty w Mławie, X. Szelicki zaś powrócił do prowincji litewskiej. W latach 1816—18 piastuje urząd superjora domu białostockiego i w tymże charakterze spotykamy go na konwencie prowincjonalnym w Wilnie w r. 1818. Do Białegostoku prawdopodobnie nie powrócił, pozostał w Wilnie jako superjor Góry Zbawiciela, lecz wnet, bo po pięciu miesiącach oddał patent superjorski, usuwając się na lata 1819-21 do Zasławia, aby jako asystent dobrodusznego X. Fabinowicza odetchnąć po pracach swoich. W roku 1821 przybywa do Wilna na konwent prowincjonalny dla wyboru wizytatora jako delegat domu zasławskiego. Mianowany i obrany radcą (asystentem) prowincji pozostał całe cztery lata (1821—24) we Wilnie. Przez następne osiem lat (1824—32) gorliwie i niestrudzenie pracuje w Śmiłowiczach jako superjor domu, proboszcz parafji i dziekan ihumeński, urzeczywistniając słowa głośnego X. Śliwickiego, wypowiedziane podczas pierwszej wizytacji kanonicznej tegoż domu: „Benedictus Deus et Pater Domini nostri Jesu Christi, qui secundum misericordiam suam magnam sedentibus in tenebris ignorantiae hujus regionis populis, lumen evangelicae doctrinae exoriri volens elegit vos et posuit, ut eatis et fructum afferatis et fructus vester maneat. Attendite igitur Fratres

---

[1]) Liber Votistarum ab anno 1768—1832. Cfr. lata 1808—12.

in Christo dilectissimi vobis et universo gregi, in quo vos Spiritus posuit ut lucernam sanctam in caliginoso loco; ambulate digne Deo et vocatione vestra, et sic state in Domino, ut non vituperetur ministerium vestrum“ [1]). Po wysłuchaniu istnie podziemnego ukazu kasacyjnego, znoszącego śmiłowicki dom i kładącego kres dalszej działalności misjonarskiej, tak błogiej dla tych stron, a pożytecznej nawet dla samego państwa przez szerzenie moralności, oświaty i kultury zachodniej, powrócił X. Szelicki w r. 1832 zbolały i złamany na Górę Zbawiciela do Wilna, unosząc w swoim sercu wspomnienia wdzięcznej pracy Zgromadzenia XX. Misjonarzy w tych stronach dla Boga, Kościoła i narodu. Odtąd pomagał ówczesnemu wizytatorowi X. Bohdanowiczowi radą i pocieszał go po ciosach, wymierzanych raz po raz na sługi Boga i ołtarza przez złowrogą, niszczycielską i twardą dłoń. Zmarł pod koniec czwartego dziesiątka XIX. stulecia cicho i spokojnie i poszedł do ukochanych braci, spoczywających po swoich apostolskich pracach na pobliskiej wileńskiej Rossie.

14. X. Józafat Lawdański 1818—22.

Jako potomek szlachty litewskiej urodził się X. Józefat Lawdański w ziemi połockiej, a diecezji wileńskiej, dnia 18. X. 1768 r. Początkowe nauki pobierał w szkołach wileńskich. Bardzo wcześnie i młodo puścił się na służbę Bożą, wstępując dnia 20 IX. 1784 do wileńskich XX. Misjonarzy. Kapłanem był wzorowym i obowiązkowym; zajęty ustawiczną pracą uwijał się wartko, dopomagając do powiększenia dobra Zgromadzenia i chwały Bożej. Nasamprzód przez 13 lat był profesorem w seminarjum misjonarskiem, przytem pomijając już pracę w kościele, oraz trudy i znoje prokuratora domu, które jedynie widzi Bóg i wynagradza, umiejętnie kierował w latach 1810—14 drukarnią diecezjalną, pozostającą pod zarzą-

1) Ordinationes Visitatorum: Ordinatio Domus Smiłovicensis anno 1747 peracta.

dem XX. Misjonarzy, a niebawem ich własnością, tak, iż produkta jej pod względem wykonania na te czasy należą do pierwszych. I diecezja i zarząd miasta ustawicznie korzystały z jej taniości i dokładności.

W roku 1814 dostał się X. Lawdański do Oświeja, lecz aż zbyt szybko wydostał się stamtąd, albowiem gdy jako delegat oświejskiego domu przybył do Wilna, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu w tymże jeszcze samym roku otrzymał po odbytym konwencie patent na superjora do św. Kazimierza we Wilnie i proboszcza tegoż kościoła. Ciężkie były jego chwile na tym urzędzie. Kościół i dom był zniszczony. Własnym kosztem został odnowiony. Kiedy zaś rozpoczęła się praca nad odnowieniem żywych domów Bożych i ta zapowiadała się wcale udatnie, rząd rosyjski powoli przykładał swoją niszczycielską rękę do dzieła. Walka podjazdowa stała się otwartą. Odbierano raz po raz przeróżne części domu, a niebawem podobny los miał spotkać i sąm kościół, który po kasacie zamieniono na cerkiew schizmatycką. X. Lawdański godnie, jak przystało na pasterza trzody Chrystusowej, bronił praw powierzonego sobie kościoła, oczywiście nie bez narażenia się władzy świeckiej. Nawymyślany i znieważony przez pewnego adjutanta uniemożliwił sobie dalszą swoją działalność u św. Kazimierza. Wprawdzie śledztwo wyszło na korzyść X. Lawdańskiego, lecz dalszy jego pobyt mógł znowu zaognić sprawę.

Oddano mu teraz, najgwałtowniejszemu oponentowi rozdziału władzy wizytatora i superjora Góry Zbawiciela[1]), rządy tegoż domu. Superjorował lat cztery (1818—22), poczem usunął się w zacisze domowe, aby krzepiąc duszę swoją pomiędzy innemi także miłą lekturą wykonanych za swojego rządu nad drukarnią dzieł, w bogobojności zakończyć doczesne życie swoje. Zmarł w roku 1826 w Wilnie i spoczął na Rossie.

---

[1]) Cfr. Decreta Conventus Provincialis Congregationis Missionis in Domo Vilnensi Montis Salvatoris a. 1818 in mense Majo habita.

15. X. Józef Bohdanowicz (1822—42/46).

„Jerusalem non habitabatur, sed erat sicut desertum; non erat, qui ingrederetur et egrederetur de natis eius et Sanctum eius conculcabatur: Filii alienigenarum erant in arce, ibi erat habitatio gentium: et ablata est voluptas a Jacob et defecit ibi tibia et cithara I. Machab. III. 45.

Ostatnim superjorem Góry Zbawiciela, który jeszcze widział jej chwałę za dni wesela, a teraz już niezadługo miał łącznie z braćmi swymi uderzyć w smutny ton harfy Sjonu, wtórując raczej do Jeremjaszowego trenu aniżeli do Machabeuszowych poczynań, to X. Józef Bohdanowicz (1822—1842/46). Polskiem zaszczycony szlachectwem, przyszedł na świat w ziemi podlaskiej w roku 1787. Początkowe nauki pobierał w Marjampolu, klasyczne ukończył w roku 1804 w Kownie. W tymże jeszcze roku, nie licząc na żadną ziemską swobodę, ale na wolność dzieci Bożych, poszedł za miłym powiewem łaski powołania i dnia 9. lipca wstąpił do Seminarjum internum wileńskich XX. Misjonarzy. Po dwuletniej próbie zapoznania się z duchem św. Wincentego w jego Zgromadzeniu przystał nieodwołalnie do jego pracowników, poczem jął się pracy nad książką teologiczną tak, że już po dwóch latach wykazał bardzo wielką znajomość św. Teologji. Przez cały ten czas swoich studjów pilnie i bacznie wpatrywał się, bo i było się w co wpatrywać, naprzód w misjonarskiego nestora X. Andrzeja Pohla, stojącego już poza gronem profesorskiem, ale pilnującego swego dzielnego pióra dla uprzystępnienia, a także dla obrony prawd wiary św., a następnie miłego i łagodnego X. Tomasza Hussarzewskiego, któremu gasnące słońce życia ochoty do pracy i dzielenia się jej owocami z młodą kapłańską bracią nie odbierało. Nic dziwnego, że pod wpływem takich mistrzów, młody lewita nabył ochoty i zamiłowania do pracy, ściągając na siebie uwagę nietylko własnych, ale i obcych, wyrokujących mu piękną przyszłość na katedrze teologicznej. Jeszcze przed

wyświęceniem na kapłana poszedł do Iłłukszty, aby w tamtejszem seminarjum, a nie w szkole, kształcić i urabiać serca i umysły młodych lewitów. Było to w latach 1808—10. Dwa następne (1810—12/3) lata przebył jako profesor; niezawodnie został w tymże czasie wyświęconym na kapłana, w seminarjum diecezjalnem żmudzkiem we Worniach. Mniej więcej w r. 1813 przybywa do Wilna, aby na Górze Zbawiciela stąpać po drabinie coraz to nowych godności, zaczynając od profesury, a kończąc dość wcześnie na wizytatorstwie jako najwyższym szczeblu w prowincji. Przytem zapewne za namową i przy pomocy X. Pohla wcale szybko uporał się z pracą rygorozalną pod tytułem: *Dissertatio de antiquis Bibliorum versionibus latinis et praecipue de Vulgata*... i promocja jego na magistra zastała go w wieku stosunkowo jeszcze młodym. Tylko, że praca rygorozalna była pierwszą i ostatnią, gdyż pióro jego, wcale udatne do napisania jakiegoś tęższego dzieła, pokryła gruba rdza. Wszak przed swoim doktoratem przedłożył tę samą pracę, która bardzo wygodnie zmieściła się na 50 stronach druku w 8⁰ [1]). Szczęśliwa obrona ogłoszonej wprzód drukiem tezy okryła w r. 1830 jego głowę doktorskim biretem, a palec przyozdobiła pierścieniem.

Jednak ta nieproduktywność jego pióra nic nie ujmuje z jego dobroci jako profesora ani jej nie pomniejsza. Wszak bez kwalifikacji katedry nie wziął, a bez przygotowania ścisłego i gruntownego z samym jedynie naukowym dyplomem na katedrę nie wstępował. Był to wymarzony nauczyciel prawd ewangelicznych, który wszystkie wiadomości, zaczerpnięte z foljantów, użyźniał modlitwą i studjum Krzyża. Stąd ta świeżość jego myśli i trafność zdań. Przez osiem lat gruntował X. Bohdanowicz prawdy odwieczne w młodocia-

1) Dissertatio de antiquis Bibliorum versionibus latinis et praecipue de Vulgata... quam in Caesarea litterarum Univ. Vil. publice defendet Lithuanus theol. magister, Presbyterorum Saecularium Congregationis S. Vincentii a Paulo per totam Rossiam Visitator. Anno 1830, Vilnae Typis dioecesanis, 8⁰, 50.

nych umysłach i przysposabiał internów i externów do przyszłej ich działalności jako pracowników ewangelicznych jednych dla Zgromadzenia, drugich dla diecezji. Przez osiem lat wychowywał swojemu drogiemu Zgromadzeniu jako dyrektor seminarjum przyszłych jego członków i przyznać trzeba. że Boski Zbawiciel dziełu jego błogosławił, albowiem których powołał, tych i zachował.

Kiedy X. Dominik Zarzecki obrany został wizytatorem litewskiej prowincji (1821—27), a X. Józafat Lawdański oddał superjorski patent do wizytatorskiej teki, X. Bohdanowicz z woli swego zwierzchnika objął stolec superjorski wileńskiego domu Góry Zbawiciela. Odtąd aż do kasaty domu i zniesienia tejże prowincji litewskiej rządził domem. W roku 1830 obrany został na konwencie prowincjonalnym, zbierającym się w myśl państwowych przepisów co trzy lata, prawnym następcą X. Jakóba Gąsowskiego, to jest wizytatorem i to ostatnim tak żywotnej prowincji. Zrazu szły wszystkie sprawy jak najlepiej i wszystko wiodło się pomyślnie. Seminarjum misjonarskie wcale sporo przygotowywało młodzieży swojej do przyszłego kapłańskiego zawodu. Ustały niektóre małe utarczki, które dobry exjezuita X. Prałat Szantyr niepotrzebnie w dziele swojem już wymienionem przywodzi. Zgoda i jedność zajrzały we wszystkie domy. Bratnia miłość zagrzewała wszystkich do intenzywnej pracy dla Boga, ojczyzny i biednego prostego ludu. Nawiedzane przez swego wizytatora domy ubiegały się w gorliwości, starzy i młodzi podawali sobie wzajemnie dłoń do wspólnego wysiłku. Aż tu nagle zawiał mroźny wiatr z nad Newy. Dobrze zdawał sobie rząd sprawę z działalności XX. Misjonarzy, paraliżującej jego wysiłki, Widział, że lud ich pieczy powierzony nie godził się, chyba z drobnemi wyjątkami na zakusy wysłanników carskich. Widział, jak biskupi, dla których XX. Misjonarze pracowali, z drobnemi odchyleniami tylko i to na jakiś czas korzystali z jurysdykcji wywalczonej przez rząd. Upomniany n. p. grzecznie przez X. Pohla metropolita Siestrzencewicz cofnął

się jednak przed niekanonicznem przyjmowaniem do archidiecezji niektórych zabiegających o jego względy i liczących na natychmiastowe przyjęcie w diecezji, potrzebującej kapłanów. Tego w obecnej dobie nie było.

Nie cofnął się tylko rząd. Jak gdyby na urągowisko słowom artykułu 6 statutu z r. 1832, orzekającym, że Religja Rzymsko-katolicka będąc religją większości naszych polskich poddanych, stanie się przedmiotem osobliwej opieki rządu [1]), zniósł ukaz kasacyjny jednym zamachem pomiędzy innemi także kilka domów Zgromadzenia XX. Misjonarzy na Litwie, których nad Newą zaliczano do najniebezpieczniejszych, bo wywierających według słów memorjału Siemaszki, niesłychanego wroga jakiegokolwiek objawu i życia katolickiego, zgubny wpływ w prowincjach zachodnich oczywiście dla prawosławia [2]). Cios ten, wymierzony przez rząd jako próbny niby w całość prowincji litewskiej, mocno podciął X. Bohdanowicza, tak, że odtąd lękliwie wytężał słuch na ustawiczne ukazy, trapiące Zgromadzenie i poszczególne jego domy. Nic nie pomogła jego osobista interwencja w Petersburgu, domy niegdyś tak bardzo kwitnące jak Siemiatycze, Śmiłowicze i inne pomniejsze oraz odrestaurowany misjonarskim kosztem pojezuicki kościół i dom św. Kazimierza w Wilnie, zrujnowany po zniesieniu OO. Jezuitów, przepadły na zawsze.

Tak więc zacieśnił się zakres działalności X. Bohdanowicza, ale tylko jako wizytatora, bo innych, publicznych funkcyj z roku na rok przybywało. Jako prowizor trzech szpitali św. Jakóba, Dzieciątka Jezus i przy ul. Sawicz w mistrzowski sposób urzeczywistniał nigdy nie starzejący się program św. Wincentego, postępując po wytycznych chwalebnego swego mistrza, jak to czynił zgasły niedawno X. Pohl. Będąc dyrektorem generalnym

---

[1]) Ks. Adrjan Boudou T. J., Stolica Święta a Rosja (Stosunki Dyplomatyczne między niemi w XIX. stuleciu) T. I. 1814—1847 (Kraków 1928. Nakładem wydawnictwa Księży Jezuitów) str. 208.

[2]) Ibid. 330 i nast.

Sióstr Miłosierdzia prowincji litewskiej mądrze strzegł i pilnował ich prawowierności, tak, że wszystkie stanęły do ochotnej pracy w imię zakreślonych przez wspólnego prawodawcę a zaprzysiężonych przed Bogiem haseł, omijając szczęśliwie i chlubnie wszystkie zakusy rządu [1]). Ponadto na wyraźne życzenie i upoważnienie metropolity mohylewskiego odbywał wizytacje kanoniczne w diecezji wileńskiej z niemałym pożytkiem dla chwały Bożej i dobra samej diecezji. Pomijając już jego prace jako cenzora ksiąg treści religijnej i egzaminatora diecezjalnego, czujnego na wszelkie niebezpieczeństwo, niestrudzonym i niezmordowanym pokazał się także w domu jak superjor i wizytator. Dbały o dobro swojej prowincji, przygotowywał jej nowych pracowników, pełnych ducha Bożego, aby po ukazaniu się jasnej jutrzenki wolności Zgromadzenie mogło podążyć ze swoją pracą na szeroki świat do spełnienia swoich celów, zatwierdzonych przez Kościół. Lecz niestety, zbyt szybko wszystkie jego myśli i zamiary zostały sparaliżowane.

W agonji legł w r. 1839 Kościół grecko-katolicki. „Szczęśliwie zakończyliśmy dobrą sprawę“ miał powiedzieć wśród radosnego zacierania rąk po odebraniu wieści o fakcie przejścia na schizmę zebranych w Połocku zwierzchników kościoła unickiego cesarz do swego powiernika Benkendorffa „a teraz kolej na łacinników“ [2]). A chociaż machjawelskie rachuby dworu nie zupełnie się ziściły, to jednak zamierzony cios nie przeminął. W imię naginanego prawa i zmyślonego dobra publicznego, tłumaczonych w sposób samowolny [3]), wygotowano naprzód dla ujęcia sobie duchowieństwa starannie wypracowany etat najpierw na dom biskupi z wyraźnem rozróżnieniem odpowiedniej klasy, a było ich trzy, następnie na katedrę z wszystkimi jej przedstawicielami przy służbie

1) Mémoires, I. Pologne str. 708 i nast. i Annales de la Congrégation de la Mission XXIV. str. 307 i nast.

2) X. Andrzej Boudou, Stolica św. a Rosja str. 245.

3) Ibid. 330; Wiadomości do Dziejów Kościoła i Religji Katolickiej panowaniu rosyjskiemu podległych. II. str. 287—298.

Bożej jako i jej zachowaniu (wyliczono prałatów, kanoników, kapelanów, kaznodziejów, zakrystjanów, pedelów, świątników, stróżów, dzwonników, ministrantów, organistów, kapelmajstrów, muzykantów i śpiewaków, a ponadto pomyślano jeszcze o innych wydatkach) dołączając bezpośrednio jeszcze staranniej wygotowany wykaz dóbr kościelnych katolickich, które w moc ukazu z dnia 26 grudnia 1841 za własność rządową uznane zostały. A były to w znacznej mierze dobra Zakonów i Zgromadzeń, które poprzednie wieki z głęboką wiarą były przeznaczyły na podniesienie chwały Bożej, na wychowanie duchowieństwa i młodzieży katolickiej, na pomoc chorym i pamięć o zmarłych. Zniknęły z powierzchni Litwy te twierdze katolicyzmu i kultury prawdziwej czyto jako centra naukowe, czy też działając w imię innych, ale zawsze Bożych haseł. Imię ich wymazano z księgi żyjących. Polepszenie zaś bytu duchowieństwa (parafjalnego) i oddanie seminarjów wedle edyktu rządu władzy diecezjalnej (od której przecież zawsze zależały) z dóbr zniesionych kosztowało jedynie 359.971 rubli rocznie, resztujące zaś 145.403 ruble rokrocznie zabierał rząd dla siebie. A nauka także na wyższy poziom nie wstąpiła [1]).

Cios to był okropny i bolesny, bo przychodził jakoś nadspodziewanie. Ugodził on także w Misjonarzy i zniósł ich zupełnie. Trzy ukazy stopniowo kończyły swoje piekielne i niszczycielskie dzieło. Pierwszy w r. 1841 rejestrował dom do odpowiedniej klasy i zakazywał dalszego przyjmowania kandydatów. Drugi z r. 1842 znosił domy nie posiadające prawnie przepisanej liczby członków. Trzeci z r. 1842 zaliczając XX. Misjonarzy do kleru świeckiego (do którego przecież zawsze należeli i dziś należą i za łaską Boga należeć będą), dla lepszego zabezpieczenia ich bytu, zarządził ich umieszczenie po parafjach jużto jako proboszczów jużto jako wikarych, stanowczo zaś zabronił im prowadzenia seminarjum wedle dotychczasowego sposobu. Zmodyfikowa-

---

[1]) X. Boudou, o. c. 68, 38; X. Kurczewski, Biskupstwo Wileńskie (Seminarjum główne) str. 341—345.

nie zwłaszcza ostatniego ukazu w jego ostatecznem brzmieniu nie obyło się bez przysługi niestety duchownego doradcy Kolegjum Kościoła katolickiego w Petersburgu.

Tak więc przestał, przynajmniej nominalnie, swoje urzędowanie jako wizytator prowincji litewskiej X. Bohdanowicz, kiedy nastąpiło rozproszenie trzody Bożej. Już w r. 1839 cudem jedynie uniknął wywiezienia na Sybir. Nie ostał się także jako proboszcz parafji Zbawiciela po wykonaniu ukazu z r. 1842. Zaofiarowanej przez bpa Cywińskiego, dawnego Misjonarza, stali w kościele św. Jana nie przyjął. Nie poszedł także do OO. Augustjanów, gdzie spędzono ze wszystkich możliwych stron zestarzałych i zniedołężniałych kapłanów na łaskawy kawałek chleba, ale powtarzając w sercu słowa: Domine miserere nostri. Te enim expectavimus, esto brachium nostrum de mane et salus nostra in tempore tribulationis, skierował swoje kroki do seminarjum św. Jerzego, aby dawny warsztat misjonarskiej pracy i wysiłku swojemi cierpieniami w imieniu całej prowincji uzacnić i uszlachetnić. Złamanemu starcowi wymuszonem przyjęciem carskiej odznaki jako pustej dekoracji Krzyża umiłowanego nie zastąpiono, przeciwnie dodaniem kilku kropli goryczy do kielicha jeszcze cierpienia wzmożono. Oto na nowy ukaz carski kościół misjonarski górujący nad miastem i okolicą, miał być z ziemią zrównany. Cudem Opatrzności jednak został ocalony tak, jak ocalone zostało dobre imię XX. Misjonarzy jako skromnych i cichych pracowników ewangelicznych i siewców prawdy i cnoty, których lud wileński, ze wszystkich stanów i warstw zgromadzony, w chwili ich przymusowego wyprowadzenia ze swego duchownego grodu z czcią sługom Boga Najwyższego należną odprowadził, jednych na miejsce wygnania w Wilnie, drugich na miejsce wiecznego spoczynku. W okazałym pogrzebowym orszaku odprowadził także wśród upalnych czerwcowych promieni słonecznych zmarłego w ostatni majowy poranek ostatniego wizytatora litewskiej prowincji X. Józefa Bohdanowicza na ukochaną wileńską Rossę do misjonarskiej kaplicy, wyrażając przy oddaniu ziemi na przechowanie do-

czesne ostatnich misjonarskich szczątków tę nadzieję, że przecież słońce Odwiecznej Sprawiedliwości, wodząc także statecznemi promieniami swymi po Górze Zbawiciela, w tej arce przymierza rozbudzi i ożywi wesołą pieśń dawnych misjonarzy u nowych pokoleń, którą kiedyś po odgłosie archanielskiej trąby na rozkołysanych strunach dusz swoich wszyscy, przewijający się w swojem doczesnem pielgrzymowaniu poprzez Górę Zbawiciela, Zbawcy swojemu wdzięcznie i wesoło zanucą jako hymn opiewający Zmartwychwstanie.

KRONIKA.

STRADOM.

Pokłosie misyjne.

Poszczególne domy Zgromadzenia w Krakowie, wyczuwając potrzebę chwili, postanowiły obchodzić tegoroczne Imieniny Najczcig. ks. Wizytatora pod hasłem misyjnem. Projektowany z tej okazji „Tydzień misyjny“ od 18 do 25-go marca nie mógł się odbyć jedynie wskutek choroby Czcigodnego Solenizanta. Jednak po Jego powrocie do zdrowia urządzone zostały w poszczególnych domach „Dnie misyjne“.

Pierwszy taki „Dzień“ odbył się 3 maja na Nowej Wsi. Małoseminarzyści pod kierownictwem swych Przełożonych, jak gdyby przenikając myśli swego Najdroższego Ojca, manifestacją swych uczuć, pełni afektu dla sprawy misyjnej, sprawili mu prawdziwą radość. Mocno to zaakcentował Najczcig. ks. Wizytator w swem przemówieniu do młodzieży, dziękując jej w serdecznych słowach za okazane serce i zapał dla misyj.

Wzruszającym momentem w programie tej uroczystości, obok „Hymnu misyjnego“ wykonanego przez chór młodzieży z towarzyszeniem orkiestry, była deklamacja wiersza: „Dusze mi dajcie“. Był to zapalny zew do czynu misyjnego, a serce niejednego z obecnych zadrgało w odpowiedzi nań.

Podobny obchód miał miejsce 6 maja u Seminarzystów na Kleparzu. Piękne wykonanie programu, jakkowiek skromnego ale serdecznością owianego, wywołało wśród obecnych podniosły nastrój. Złożyły się na to: odczyt p. t. „Zgromadzenie Księży Misjonarzy a misje“, melodeklamacja „Apostoł

kona“ i „Hymn misyjny“. Zwłaszcza ten ostatni, wykonany z zapałem, entuzjastycznie był przez obecnych oklaskiwany. Serce Najukochańszego Ojca nie mogło już czekać na ostatni punkt programu, gdyż wzruszenie było zbyt wielkie, dlatego też z obfitości jego popłynęły słowa serdeczne, ojcowskie. A słowom tym z pewnością błogosławiło Dziecię Boże, spoczywające na ręku św. Józefa wśród zieleni na tle gustownej dekoracji.

Uczestnicy tej uroczystości czuli jak u tego znicza ducha misjonarskiego, u tej kolebki Prowincji polskiej wezbrało uczucie rodzinne, a wnętrze rozpalił ogień umiłowania sprawy Bożej — idei misyjnej.

W dwa tygodnie później Koło Misyjne kleryków na Stradomiu urządziło uroczyste zebranie jako trzeci z kolei „Dzień Misyjny“. Zebranie zagaił przewodniczący C. Górski. W przemówieniu swojem, witając przybyłych gości Księży z ks. Wizytatorem na czele, wyjaśnił cel zebrania. Następnie obecni wysłuchali z żywem zainteresowaniem odczytu C. Kotlińskiego p. t.: „Rzut oka na obyczaje i literaturę Chińczyków“ [1]). Wreszcie po występach solowych C. Górskiego (fortepjan) i C. Dziedzica (cello), C. Szuniewicz w krótkich słowach scharakteryzował stosunek pracy w kole do ogólnego ruchu misyjnego, szczególnie podkreślając konieczność ściślejszego kontaktu kleryków z placówkami misyjnemi Zgromadzenia. Wspaniałym finałem zebrania było przemówienie ks. Wizytatora. Streścićby je można w tych słowach Chrystusa Pana: „Ogień przyszedłem miotać na ziemię, a co chcę, jedno, aby był zapalon“. „Pragnąłbym widzieć w tem kole — mówił ks. wizytator wszystkich kleryków ze Stradomia i z Kleparza, bo potośmy w Zgromadzeniu, byśmy misje tak krajowe jak i zagraniczne kochali, niemi się interesowali i popierali je już teraz przez modlitwę, a w przyszłości wzięli w nich czynny udział“.

Św. Wincenty, który misjonarzy swych zwykł nazywać „zbieraczami kłosów po niebieskich żniwiarzach“, cieszy się

[1]) Streszczenie odczytu podano niżej.

z pewnością teraz w niebie, oglądając i to skromne pokłosie misyjne.

Radość sprawia mu jednak nietylko sam zapał dla świętej sprawy w sercach jego dzieci, lecz także i daleko więcej czyn w imię tej sprawy podjęty. Czynem tym, to organizacja muzeum misyjnego. Już w grudniu ub. r. z inicjatywy ks. dyr. Dylli rozesłane zostały do wszystkich prawie placówek misyjnych C. M. listy okólne z prośbą o nadsyłanie exponatów. Na przewodniczącego tej imprezy ks. Dyrektor zaprosił ks. prof. Konst. Michalskiego. Z końcem lutego zaczęły nadchodzić paczki z exponatami, listy, musiała więc z konieczności wywiązać się rozległa korespondencja, na co ks. Dyrektora przy najlepszych chęciach nie było stać. Wobec tego w celu kontynuowania zbożnego dzieła przekazał ks. Dyrektor sprawę organizacji muzeum Kołu Misyjnemu kleryków. Strona techniczna organizacji przedstawia się obecnie w ten sposób, że jeden konfrater jest kustoszem muzeum, który przyjmuje i rejestruje nadchodzące paczki (nadeszło już przeszło 10 paczek, okazy nieraz bardzo cenne), dwóch innych konfratrów prowadzi korespondencję z placówkami misyjnemi. Wystawa zbiorów muzeum misyjnego projektowaną jest na koniec r. b.

* * *

„Rzut oka na język, literaturę i obyczaje Chińczyków“ w barwnym zarysie przeniósł słuchaczów do państwa Niebieskiego, gdzie największym szacunkiem otacza się obywatel najbardziej otyły; gdzie nad pierścienie ceni bogacz swe długie paznokcie; gdzie moda odwieczna wymaga dziecięcej stopy u niewiast, a przez trzy lata każe nosić żałobę — na biało; gdzie za skuteczną metodą przekonywania uważa się hałas, mowa zaś płynna na nikim nie robi wrażenia. Przebiegły przed oczami zasłuchanych konfratrów liczne szeregi wieków sędziwego państwa Nieba, rządzonego w czasach legendarnych przez samych bogów, a i dotychczas pozostającego pod naczelnemi rządami „nieba“, którego zastępcami tylko

są władze widzialne. Znane są dawne zdobycze kultury chińskiej — proch, busola oraz słynna porcelana, nie wszyscy natomiast pamiętamy o tem, że już w r. 105-tym po Chr. znali Chińczycy papier, zaś w roku 1041 kowal chiński wynalazł druk, wyprzedzając w tem Europę o cztery stulecia. O dawnych skarbach kultury chińskiej świadczyć ma stutomowa (!) encyklopedja Man-tuan-lin'a, w swym setnym tomie traktująca dopiero o okresie kultury z przed r. 1224 przed Chr. Znaną jest zawiłość pisowni chińskiej, jednak przystępujący do niej z dziecięcą prostotą i bez uprzedzeń już po dwu latach opanowuje język i pismo tego olbrzyma, który niegdyś żył intensywnem życiem umysłowem, a po okresie wielowiekowego letargu zdaje się budzić na nowo do współpracy narodów w rozstrzyganiu zagadki życia.

*
* *

EGZAMINA.

Aprobata.

We wigilję Zielonych Świątek, dnia 26 maja, nasi konfratrzy Łopata, Gąsienica, Zając, oraz djakoni, Sociński i Piotrowski, ponadto dwaj Ojcowie Paulini, uczęszczający do nas na studja, OO. Krupiński i Nowak, złożyli egzamin do aprobaty przed Ks. Prefektem studjów i Redaktorem Instytutu Teologicznego Ks. Sup. Weissmannem, w obecności Czcig. Ks. Wizytatora, Ks. Józefa Kryski i wobec Księży profesorów. W ten sposób Księża djakoni otrzymali „plenam potestatem“, a obydwaj djakoni przygotowali się ostatecznie na przyjęcie łaski Ducha św. „per impositionem mannum episcopi“. W drugi dzień Zielonych Swiątek, dnia 28 maja 1928 r., na pochylonych głowach C. C. Lucjana Socińskiego i Zygmunta Piotrowskiego spoczęły ręce JE. Najprzew. Ks. Bpa St. Rosponda, a z ust jego spłynęły słowa: „Accipe Spiritum Sanctum“.

Nieco później, 8 czerwca b. r., Ks. Ks. Józef Zając Lucjan Sociński odjechali do Ameryki półn., skąd przed przed 4 laty przybyli z Kollegjum w Erie-Pa na studja do Polski.

Matura.

Po pomyślnym egzaminie piśmiennym od 9—14 maja b. r. zasiedli absolwenci w dniu 11 czerwca b. r. do matury ustnej. Przewodniczył egzaminowi dyr. gim. B. Nowodworskiego (św. Anny) p. Jakób Zachemski. W skład Komisji egzaminacyjnej weszli: dyr. Zakładu Ks. prof. dr. Paw. Dylla, prof. mat. p. Ant. Bielak, prof. filol. p. Tara, prof. hist. dr. St. Kozłowski, prof. j. pol. dr. St. Serwin. Wynik egzaminu pomyślny. Z 10 abiturjentów 2 zdało egzamin z odznaczeniem. Na teologję kandydują więc: Winc. Bebak, Kar. Broda, Wilh. Ciemała, Aug. Godziek, Jerzy Sruszka, Fr. Kellner, Norb. Kompalla (z odznaczeniem), St. Kotliński (z odznaczeniem), Fr. Madej, Józ. Pieprzyca.

* * *

KLEPARZ.

Dnia 5 czerwca b. r. zakończył życie superjor prowincji Ks. Melchior Wdzięczny, przeżywszy lat 89. Pogrzeb odbył się 8 czerwca b. r. Oprócz konfratrów, księży, kleryków i braci ze Zgromadzenia, którzy dla oddania ostatniej posługi najstarszemu z prowincji stawili się prawie wszyscy, byli też przedstawiciele wielu innych Zgromadzeń, Zakonów i duchowieństwa świeckiego z Krakowa i sześć Sióstr Miłosierdzia. Z prowincji przybył na pogrzeb senjora jeden przedstawiciel Ks. Asystent Paszyna z Warszawy.

Ks. Melchior Wdzięczny syn Szczepana i Marji z domu Wiśniewskiej urodził się 31 grudnia 1839 r. w Lubstówku, pow. Konińskim, diecezji włocławskiej. Jako młodzieniec uczęszczał początkowo do szkoły parafjalnej w Lubstówku, następnie do 4 klasowej szkoły w Sonysolnie oraz w Kremsku i wreszcie przez pewien okres czasu oddawał się nauce prywatnie. Przyjęty do Zgromadzenia w lecie roku 1858 w Warszawie, złożył tamże we wrześniu r. 1860 śluby św. Święcenia mniejsze otrzymał w r. 1862, subjakonatu i dja-

konatu w r. 1863; w lipcu tegoż roku otrzymał kapłaństwo. Po wyświęceniu na kapłana od sierpnia r. 1863, był przez 2 lata w Paryżu w celu głębszego przejęcia się duchem Zgromadzenia. Od lutego r. 1865 do jesieni r. 1874 pracował w Salonikach. Zajęcia jakie tam wykonywał były różnorakie: praca parafjalna, w zakładach wychowawczych, w szkole, w szpitalu. Z Salonik przybył do Krakowa, gdzie pracuje przez lat 21 na Kleparzu. Pełnił tu naprzód obowiązek prokuratora domu, potem dyrektora Seminarjum Internum, dyrektora Małego Seminarjum, asystenta domu, kapelana szpitała św. Łazarza i wreszcie katechety u SS. Miłosierdzia. W r. 1895 udaje się na rozkaz Przełożonych do Sokołówki, gdzie przez 4 lata pełnił obowiązki kapelana SS. Miłosierdzia. Od r. 1899 do r. 1914 pracuje w Moszczanach również jako kapelan SS. Miłosierdzia. Po powrocie z Moszczan do Krakowa pozostaje aż do śmierci na Kleparzu. Zmarł 5-go czerwca 1928 r.

R. † P.

Do Szanownych Czytelników „Roczników".

1) Redakcja prosi o łaskawe wyrównanie prenumeraty, z którą **zalega połowa czytelników.**
2) „Roczniki" będą odtąd wychodziły regularnie co kwartał.
3) Prenumerata roczna 10 zł. (2 dol.). Numer pojedynczy 3 zł. Wpłata na konto czekowe 150.142, ks. Król. Kraków.
4) Uprasza się księży konfratrów o nadsyłanie artykułów odpowiednich do „Roczników"; zwłaszcza księży superjorów o „kroniki domowe", dyrektorów misyj o sprawozdania z tychże, etc., etc.
5) Sekretarjaty **wszystkich** trzech prowincyj SS. Miłosierdzia, prosi redakcja o łaskawe sprawozdania z pracy Sióstr, nekrologi zmarłych Sióstr i t. d.
6) W latach 1916, 1917, 1918, 1919 nie wyszedł żaden numer „Roczników". W 1920 i 1921 po 4 numery, w 1922, dwa numery, w 1923 i 1924 po jednym numerze, w 1925 r. dwa numery, w 1926 i 1927 po cztery numery.